MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 21 WARSZAWA, 1 PAŹDZIERNIKA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

O DYKTATURACH

KRYZYS gospodarczy i społeczny, który nastał po wojnie, łącznie z wadliwem funkcjonowaniem systemu parlamentarnego w całym szeregu krajów, wywołał w Europie tęsknotę za jakimś nowym porządkiem rzeczy, za gruntowną zmianą ustroju. Nie wszyscy umieli wskazać, na czem ta zmiana ma polegać, wielu zadawalało się tylką krytyką, tylko chęcią zmiany. Na tem tle zrodziło się przekonanie, że źródłem zastoju i rozstroju jest brak silnej władzy, brak jednej kierowniczej woli w państwie. I wtedy mówiono sobie: niechaj przyjdzie człowiek, który wprowadzi porządek, niechaj przyjdzie dyktator!

Dyktatura nie jest określoną, w każdym razie nie jest regularną formą rządów. Oznacza poprostu fakt, że władza przeszła w ręce jednostki. Jaka jednostka, taki system rządzenia. Dyktatorzy zjawiali się w różnych krajach. Dyktatorem był Stambulijskij w Bułgarji, Pangalos w Grecji; jest nim Primo de Rivera w Hiszpanji, Waldemaras na Litwie. Uważa się często także i Mussoliniego za dyktatora, chociaż we Włoszech mamy do czynienia z odrębnym systemem politycznym, zwanym faszyzmem. Ci wszyscy dyktatorzy nie są podobni do siebie, bo i kultura tych krajów jest różna i w różnych one żyją warunkach. Zresztą tam, gdzie wchodzi w grę indywidualność rządzących jednostek, tam trudno dojść do daleko posuniętych uogólnień o całym systemie. Niemniej jednak z samego faktu, że rządzi jednostka, wynikają daleko idące konsekwencje dla całego życia politycznego narodu.

Najpierw nasuwa się pytanie: czy dyktatura może być trwałym systemem rządów? Dyktator obejmuje zwykle władzę siłą. Rządzi tak lub inaczej przez czas dłuższy lub krótszy i kończy swój żywot śmiercią naturalną lub gwałtowną. Co wtedy? Zachodzą dwie ewentualności: albo dyktator zdołał uporządkować stosunki w kraju i zdołał przygotować nowy ustrój, zdolny do funkcjonowania po jego ustąpieniu lub zgonie, albo też tego nie zrobił. W pierwszym wypadku dyktatura ma znaczenie przejściowe, niejako przygotowawcze. Społeczeństwo jest już zdolne obejść się bez dyktatora. Utrwala się ten lub inny system rządów, monarchja lub republika, życie polityczne kraju wchodzi w normalne łożysko. Albo też, w drugim wypadku, z śmiercią dyktatora rozrywa się główna nić polityczna, która utrzymywała równowagę i spokój w społeczeństwie; wówczas następuje chaos, walki wewnętrzne, anarchja, i z tego wszystkiego może się wytworzyć nowy dyktator. Przykładów takiego przebiegu wypadków znajdujemy wiele w dziejach środkowej i południowej Ameryki.

Zatrzymajmy się przez chwilę przy wypadku, w którym dyktatura istniała przez dłuższy czas i była naprawdę pożyteczna dla kraju. Taki obraz przedstawia Meksyk za Porfirio Diaza. Ten dyktator uporządkował chaotyczne stosunki, zorganizował armję, budował koleje żelazne, ściągał obce kapitały do kraju. Rządził przez lat kilkadziesiąt z wielkim wynikiem dla swej ojczyzny. Gdy go zabrakło, to Meksyk wpadł w odmęty anarchji, w której się wije już od lat wielu. Przyczyna tego stanu jest bardzo prosta: Porfirio Diaz wiedział czego chciał i umiał rządzić, ale nie nauczył swego społeczeństwa tego, jak się bez niego obywać. Gdy go zabrakło, runęło jego dzieło.

Jeżeli naród trafi nawet na dobrego dyktatora— co się dość rzadko zdarza — to jakkolwiek mogą jego rządy przynosić bezpośrednie korzyści, jednak okazuje się to bardzo wielkiem niebezpieczeństwem na przyszłość. Im te rządy dłużej trwają, tem większe są niebezpieczeństwa. Regularne formy rządów mogą nawet chromać, ale mają jedną zaletę: wychowują one politycznie społeczeństwo, uczą je sztuki rządzenia się, stwarzają cały szereg prawnych instytucyj, gwarantujących ciągłość życia państwowego. Dyktatorzy zwykle wyjaławiają życie polityczne. Zamiast określonego programu, wysuwają oni kult własnej osoby. Chcą wmówić w społeczeństwo, że nie potrzebuje ono myś-

leć o losach i przyszłości narodu, gdyż jest ktoś, kto za nie myśli. Dla wielu ludzi może to być wygodne, ale jest to eksperyment bardzo kosztowny, grożący przewrotami.

Może się tak zdarzyć, że w pewnych wypadkach dyktatura staje się koniecznością, że niema innego narzędzia walki z anarchją. Ale wtedy dyktator, który wierzy w swój naród a nie wierzy tylko w siebie, będzie się sam starał, by jego dyktatura była krótkotrwałą, by jaknajwcześniej uczynić zbędną swoją funkcję, którą będzie uważał za *malum necessarium*. Użyje wszelkich sił, by przywrócić ład w społeczeństwie. Właśnie dlatego, że sam z konieczności musiał naruszyć prawo, będzie się starał podnieść jego powagę, jego znaczenie; jeżeli zaś źródłem kryzysu były także i wadliwości ustroju państwowego, dołoży wszelkich sił, by jaknajprędzej ten ustrój naprawić, by ustał stan niepewności, który zawsze przedstawia dyktatura. Będzie pracował nad sprawą konsolidacji narodu, a nie jego rozstroju. Może się stać wówczas wielkim wychowawcą narodu, jakim niewątpliwie jest Mussolini.

Postać Mussoliniego może posłużyć do uwydatnienia różnicy, która zachodzi między dyktaturami, któreby można nazwać „cywilnemi", a dyktaturami, dochodzącemi do władzy w drodze wojskowego zamachu stanu. Cechą charakterystyczną przewrotu włoskiego było to, że nie brało w nim udziału wojsko. Władzę objął Mussolini, stojący na czele faszystów, organizacji politycznej, mający określony program rządzenia, mającej nowe idee, które promieniują dzisiaj nawet na inne kraje. Tego wszystkiego nie miały przewroty wojskowe. Jeżeli się ma za sobą wojskową organizację, to łatwo zdobyć jest władzę; ale jeżeli się miało tylko tę organizację i tylko chęć rządzenia, to wówczas daleko trudniej jest rządzić. W tem położeniu znaleźli się Pangalos w Grecji, Waldemaras na Litwie. Rządy takiej dyktatury streszczają się tylko w tępieniu przeciwników politycznych, co nie starczy za program, a nawet nie zabezpiecza trwałości władzy tych, którzy ją sprawują. Im więcej dokonywa się aktów siły politycznej, tem bardziej słabnie siła moralna rządzących, ich autorytet w narodzie.

Tragedją niejednego dyktatora było to, że umiał wziąć władzę w swoje ręce, a nie umiał jej sprawować. W tych wypadkach dyktatura niejednokrotnie stała się tylko pozorną, a rzeczywista władza przeszła w ręce otoczenia dyktatora: w ręce konspiracji, mafji, krótko mówiąc, tak lub inaczej nazywając, oligarchji. Ta „elita" rządząca — jeżeli wolno użyć tego wyrażenia — połączona była razem wspólnością wysiłku duchowego w celu zdobycia władzy, a po tej objęciu łączy ją przedewszystkiem chęć utrzymania się przy niej. Ci ludzie często mają najbardziej rozbieżne zdania, o ile chodzi o konkretne zagadnienia państwowe; wobec wielu z nich stoją bezradni. Pracują gorliwie nad tem, by usunąć niebepieczeństwo nowego przewrotu, by nie dopuścić do wzrostu sił, grożących im obaleniem, starają się rozwinąć jak największą reklamę na rzecz osoby, za którą się kryją. Sam fakt sprawowania władzy, sama forma, starczy im za treść. Możnaby o nich powiedzieć, trawestując znane zdanie łacińskie: *propter imperare imperandi perdere causas.*

Poniekąd dyktatura zawsze jest złem, które jednak w pewnych wypadkach na dobre może się obrócić. Gdy jednakże rządy dyktatorskie objawiają bezpłodność, gdy przeważa w nich negacja nad pozytywną pracą dla przyszłości, gdy społeczeństwo coraz częściej i coraz natarczywiej zadaje sobie pytanie: co będzie dalej — to już są znaki niechybne, że dyktatura na złe się obraca. Łatwiej jest o władzę, niż o twórczą ideę. A twórczą ideę można mieć wtedy, gdy ten, kto władzę sprawuje, wierzy w swój naród, w jego siły, gdy jest naprawdę jego wychowawcą.

W tem tkwi sedno rzeczy. Dyktator w swojem przekonaniu, nie zawsze słusznem, jest wielkim człowiekiem, jest mężem stanu, powołanym przez dzieje do spełnienia jakiejś nadzwyczajnej misji. Wielkość męża stanu można mierzyć jednem kryterjum: stosunkiem jego do narodu, z którego wyszedł, na rzecz którego pracuje. Mały naród nie wyda wielkiego męża stanu, mały dyktator nie będzie rozumiał swojego narodu. Przywódca, który wyrósł ponad przeciętną miarę, organizuje swój naród, wydobywa na powierzchnię drzemiące w nim siły, uruchomia wartości, które się w nim marnowały przy złych systemach rządów. Nie chodzi mu tylko o to, by dziś sprawować władzę, dąży do tego, by naród uzbroić na przyszłość w te siły moralne i materjalne, które go postawią w rzędzie wielkich narodów.

Może to nastąpić tylko wtedy, gdy między tym przywódcą a masą narodu istnieje coraz ściślejsze współdziałanie, coraz żywszy kontakt duchowy. Wielki wódz narodu nie ukrywa swoich planów, swoich idei przed narodem, lecz stara się je jaknajmocniej i jaknajgłębiej zaszczepić. Budzi przedewszystkiem w narodzie świadomość jego własnej wartości, budzi w nim wiarę we własne siły, w jego wielką przyszłość. Ta wiara jest głównem narzędziem w rękach wodza; bez niej nigdy się nie dokonało niczego wielkiego, nie można niczego dokonać zwłaszcza dzisiaj, gdy bądź co bądź opinja publiczna gra wielką rolę, a masy pretendują do współdziałania w kierowaniu swemi losami. Wielki dyktator chce być wyrazicielem wielkości narodu, pragnie przedewszystkiem zdobyć „rząd dusz", ma świadomość, że z narodu wyrósł i że z niego czerpie swoją wartość.

Dyktatura fizyczna jednostki lub jakiejś zorganizowanej grupy ludzi, przeciwstawiającej się ostro całemu narodowi, nie wierzącej w niego i nawzajem, otoczonej nieufnością, nie pozyska istotnej i trwałej władzy w narodzie, bo brak jej podstaw moralnych, staje się tylko okupacją.

ROMAN RYBARSKI

TESTAMENT CEZARA

Wkrótce ukaże się książka znanego publicysty Stanisława Kozickiego p. t. „Na Sycylji". Korzystając z życzliwości autora dla „Myśli Narodowej", ogłaszamy poniżej część jednego z rozdziałów. Autor obrał formę feljetonową djalogu.

POETA

GDY słyszałem wczoraj pochwały Rzymu, wplecione w krytykę instytucyj greckich, zacząłem myśleć o tem, co zostało z pięciowiekowego panowania Rzymu na Sycylji? Doszedłem do wniosku, że prawie nic. Widzieliśmy tylko niestosowne przeróbki starych teatrów greckich, resztki wodociągów — to bodaj wszystko. Czytaliśmy natomiast o rabunku dokonanym przez pretora rzymskiego Verresa, który, jak to nam wymownie opowiada Cyceron, wywiózł z Sycylji wszystko, co tylko mógł, ze skarbów sztuki greckiej. Czytaliśmy o tem, że Sycylja była śpichlerzem Rzymu, to znaczy, iż jej zabierano wszystko, co produkowała, że wreszcie była terenem buntów niewolników, którzy tu byli bardziej liczni, niż w innych prowincjach rzymskich, i zdołali, chwyciwszy za broń i korzystając zapewne z niezadowolenia, jakie tkwiło w duszach podbitych zgrecyzowanych Sikulów, utworzyć na czas jakiś niezależne królestwo w Castrogiovanni i innych niedostępnych miejscowościach Sycylji wewnętrznej. Oto spuścizna Rzymu.

Widzieliśmy budownictwo rzymskie i pozostałości dzieł sztuki rzymskiej w Rzymie samym. Nie chcę powiedzieć, że nie mają wartości, lecz jakże ustępują na plan dalszy, gdy je porównać z zabytkami budownictwa i z dziełami sztuki greckiej. Widać, że jest to nieudane naśladownictwo przepięknych wzorów. Uderza tylko wielkość tych budowli i tych posągów. Na rzecz tej wielkości, czysto fizycznej, poświęcono harmonję, stanowiącą cechę piękna. Sycylja pod panowaniem Rzymian nie ma historji, pozostały tylko wspomnienia ucisku, rabunku i zamieszek krwawych. Tak wygląda Rzym widziany z Sycylji.

POLITYK

Fakty przytoczone są ścisłe. Istotnie Sycylja z okresu rzymskiego nie posiada historji własnej, nie można powiedzieć bowiem, by pierwsza wojna punicka, prowadzona z Sycylją i na Sycylji, nie należała do historji. Rzecz w tem, że Sycylja po utracie niepodległości przez kolonje greckie przestała być ośrodkiem wydarzeń historycznych. Syrakuzy były wielkiem państwem, jedną z czterech groźnych potęg na morzu Śródziemnem. Po upadku potęgi Syrakuz staje się Sycylja ziemią kresową Rzymian, ośrodek wydarzeń historycznych przenosi się do Rzymu.

Co wszakże działo się na Sycylji poza rabunkami Verresa i buntami niewolników? Sądzę, że życie płynęło swoją koleją. Wiadomość o rabunkach Verresa trzeba sprowadzić do właściwych rozmiarów. Wiemy o nich z mów Cycerona, była w nich z pewnością właściwa takim mowom przesada. A bunty niewolników? Były w całej Italji, były zresztą koniecznem następstwem ustroju społecznego. Niewolnictwo istniało w Grecji, istniało też we wszystkich krajach ówczesnych—nie jest szczególną właściwością Rzymu.

Jeśli zaś była Sycylja, jak to stwierdzają wszyscy pisarze współcześni, śpichlerzem Rzymu, to znaczy tylko, że była ona krajem, gdzie rolnictwo było wysoko rozwinięte. Gdzie zaś rozwija się rolnictwo, tam z pewnością jest praca i są drogi, bezpieczeństwo zapewnione, dobrobyt. Rzym dał prowincji Sycylijskiej to wszystko, co dał prowincjom innym — dobrą administrację, drogi, pokój i bezpieczeństwo. Z tem wszystkiem zaś szła równolegle intensywność pracy i rozwój produkcji. O ucisku narodowym nie możemy mówić, bo narody w tych czasach nie istniały. Życie w spokoju i dobrobycie jest zaś tem, do czego aspirują wszystkie narody. Rzeczy wielkie działy się wówczas w Rzymie. Sycylja mogła odgrywać rolę ośrodka historycznego tylko wówczas, gdy wybrzeża Morza Śródziemnego stanowiły cały świat cywilizowany, lub gdy na tych wybrzeżach rozgrywały się wydarzenia wielkiej wagi. Wejście Rzymu na arenę dziejową przesunęło punkt ciężkości bardziej na północ.

Twórczość Rzymu w dziedzinie sztuki i literatury, nie może się równać z twórczością Grecji. Co do sztuki — zgoda zupełna. Co do piśmiennictwa — możnaby dyskutować. Przypuśćmy jednak, że całość tezy Pańskiej jest zgodna z rzeczywistością. W tym wypadku trzeba stwierdzić, że twórczość Rzymu skoncentrowała się w innej dziedzinie — w dziedzinie organizacji państwa i społeczeństwa. W tym zakresie Rzym przewyższa Grecję, powiem więcej — Rzym zrobił w tej dziedzinie rzeczy, które przewyższają wszystko, co zrobione było na ziemi w ciągu całych dziejów ludzkości.

Twórczość w dziedzinie państwowej i społecznej należy stawiać narówni conajmniej z twórczością w dziedzinie sztuki i piśmiennictwa. Dobra organizacja państwowa i społeczna jest warunkiem twórczości kulturalnej, od niej zależy także trwałość kulturalnego dorobku. Twórczość polityczna wymaga tych samych właściwości od człowieka, co twórczość artystyczna— rozumu, natchnienia, genjuszu, namiętności twórczej i poświęcenia interesów osobistych. W dodatku zaś wymaga charakteru i odwagi. Jeśli wyniki twórczości artystycznej pozostają w postaci pomników budownictwa, posągów, obrazów i rzeczy pisanych, to wyniki twórczości politycznej pozostają w duszach ludzkich i są przekazywane przez pokolenie pokoleniom. Trzeba konsekwentnej i wytrwałej twórczości pokoleń, by wytworzyć warunki społeczne, w których naród może wydać z siebie kwiat kultury. Często kwiat ten rozkwita w chwili, gdy twórczość polityczna już osłabła, gdy organizm społeczny już się zaczyna rozkładać. Niemniej przeto ta właśnie twórczość polityczna pokoleń stworzyła warunki twórczości kulturalnej. Tak było w Grecji, gdzie rozwój sztuki i piśmiennictwa przypadł ne okres rewolucji, nie będącej wcale *„une maladie de croissance"*, a oznaczającej rozkład i zapowiadającej upadek.

Dzieło Rzymu w dziedzinie państwowej i społecznej jest przeto dziełem wielkiem i wiekopomnem.

Rzym miał religję, konstytucję, armję i wyhodował całe pokolenie ludzi, posiadających pojęcie prawa. Rzym ustalił te zasady życia zbiorowego, które, jak dowodzą doświadczenia ludzkości, są podstawą rozwoju i trwałości państw i społeczeństw.

Już myśliciele współcześni zdawali sobie sprawę z wielkości dzieła Rzymu w tym okresie. Powołam się tylko na Polibjusza, który patrzył na rozkład swej ojczyzny Grecji i na Rzym walczący z Kartaginą. Polibjusz wykazuje zalety ustroju politycznego Rzymu, przedstawiając harmonijne współdziałanie czynników władzy—konsulów, senatu i ludu—wykazuje zalety wojska rzymskiego, wreszcie jest pełen zachwytu dla tego, co Rzymianie nazywali *„virtus"*, dla takich cnót jak religijność, męstwo na polu bitwy, odwaga cywilna, uczciwość, prawość, ofiarność i poświęcenie. Zacho-

wałem w pamięci opinję Polibjusza, która brzmi mniej więcej jak następuje: „W Grecji, jeśli się pożyczy jednego talenta działaczowi publicznemu, to nawet podpisawszy dziesięć dokumentów i powoławszy dwudziestu świadków, można być pewnym, że się będzie okradzionym; w Rzymie w stosunku do sum o wiele większych zwykła przysięga jest gwarancją o wiele pewniejszą“. Przypuśćmy, że jest przesada w tej opinji, słowa Polibjusza świadczą jednak o podziwie, jaki miał dla republiki rzymskiej w okresie jej wieku złotego.

Różnica między Grecją a Rzymem uwydatnia się bardzo silnie, gdy się czyta „Żywoty“ Plutarcha. Nie zamierzam wchodzić w szczegóły, wskażę tylko na pewien wniosek ogólny, który ukształtował się w moim umyśle: w żywotach Greków jednostka wysuwa się na plan pierwszy, w żywotach Rzymian istotną „*dramatis persona*“ jest Rzym. W Grecji, a zwłaszcza w Atenach, uderza rozum, genjusz, odwaga, zręczność jej wojowników i mężów stanu, poza niemi natomiast widać lud grecki zmienny, wymagający pochlebstw, będący nieustanną przeszkodą w dokonaniu rzeczy nietylko wielkich lecz nawet koniecznych. W Rzymie wojownicy i mężowie stanu robią często wrażenie ludzi mniej wybitnych, mniej wśród nich genjuszów, natomiast widać wszędzie i zawsze poza niemi stałość, mądrość, odwagę i poświęcenie ludu rzymskiego. Bohaterami historji w Grecji są jednostki, w Rzymie — zbiorowość, Rzym cały.

Różnice uwydatniają się z wielką wyrazistością w żywotach Alcybiadesa i Koriolana, których Plutarch stawia obok siebie, w których jednak można wskazać tylko wspólność zdrady swej ziemi rodzinnej: u Alcybiodesa na rzecz nietylko Sparty lecz i Persów, u Koriolana na rzecz Wolsków. Cechy tej zdrady uderzają mnie właśnie. I Grek i Rzymianin są ludźmi wielkiej ambicji i dążą do władzy. Ma się jednak wrażenie, że Grek pragnie władzy dla niej samej, że pragnie dokonać wielkich czynów, by się wsławić, by zdobyć pozycję w swem mieście rodzinnem; Rzymianin natomiast chce mieć władzę dlatego, by jej użyć do pewnych celów ogólnych, by w pewien sposób pokierować sprawami swego miasta. Grek schlebia ludowi, staje to po stronie arystokracji, to po stronie ludu, zależnie od tego co mu obiecuje dojście do stanowiska; Rzymianin mówi ludowi to, co myśli, chce go prowadzić i uczyć, a nie podobać mu się, jest wierny swym zasadom i konsekwentny w postępowaniu, — Grek „zdradza“, jak się zdaje, bez żadnych walk wewnętrznych, dla Rzymianina zdrada jest tragedją. Alcybiades nie wykazuje skruchy, Koriolan, usłyszawszy głos miasta ojczystego przez usta matki, cofa się i ginie śmiercią tragiczną. Alcybiades nie budzi współczucia, Koriolan jest postacią tragiczną, a więc budzący współczucie. Różne również jest zachowanie się ludu greckiego i senatu rzymskiego w stosunku do „zdrajców“. Lud grecki wielokrotnie zmienia swe stanowisko, to skazuje Alcybiadesa, to błaga go by powrócił, przerzucając się bez trudności z jednego skrajnego stanowiska na drugie. Senat rzymski opiera się amnestji dla Koriolana, gdy lud przerażony jego zbliżeniem się do Rzymu na czele Wolsków tego się domaga. Gdy był zamordowany przez Wolsków „Rzymianie — jak pisze Plutarch — zawiadomieni o jego śmierci, nie okazali ani niezadowolenia, ani czci dla jego pamięci“.

LITERAT

Mimo tych wszystkich cnót i „doskonałości“ ustroju, republika rzymska zakończyła swe istnienie rewolucją krwawszą z pewnością niż francuska, mogącą się równać z przewrotem bolszewickim w Rosji. W ciągu zaś swego istnienia była nieustannie wstrząsana przez walkę patrycjuszów z plebejuszami. Arystokracja rzymska zagarnęła całą władzę w swoje ręce, strzegła jej zazdrośnie i uciskała lud, tak jak nikt przed tem ani potem. Nie było w republice rzymskiej ani równości ani wolności, tych dwóch dóbr, które stanowią o szczęściu człowieka i o wartości państw i społeczeństw.

POLITYK

Trudno zaprzeczyć rzeczywistości — Rzym był rozdzierany przez nieustanne walki wewnętrzne od tej chwili niemal, gdy pozbył się królów; republika zakończyła się rewolucją. Sąd jednak o republice rzymskiej zależy od punktu widzenia, z którego się patrzy na życie państw. Jeśli spoglądać na te rzeczy z puuktu widzenia interesów jednostki, jeśli stać na gruncie szczęścia indywidualnego, to niewątpliwie wolność i równość obywateli będą sprawdzianem wartości ustroju państwowego i społecznego, jeżeli natomiast spoglądać z punktu widzenia interesów i powodzenia całości, jeśli uważać spełnienie misji dziejowej czy woli Opatrzności — jeśli kto woli — za cel istnienia narodów, to trzeba inną zupełnie przykładać miarę, trzeba pytać, czy ustrój polityczny i społeczny uzdolnił daną gromadę ludzką do osiągnięcia tych celów ostatecznych.

Jeśli z tego punktu widzenia będziemy patrzyli na republikę rzymską, to będziemy musieli uznać jej ustrój i zasady, na których było oparte życie religijne, społeczne i polityczne jej obywateli, za dobre. Dzięki temu ustrojowi i tym zasadom Rzym zdołał zjednoczyć pod swem panowaniem całą Italję, następnie narzucić swą hegemonję całemu śródziemnomorskiemu światu, powiedzmy więcej — całemu ówczesnemu światu cywilizowanemu.

Rzym powstał jako forteca kresowa, żył w nieustannych walkach i to stanowi tajemnicę formowaniu się jego. Na najlepszej przeprawie na Tybrze stanowiącym granicę między posiadłościami Etrusków i Latynów, założone zostało przez Latynów osiedle dla obrony tej przeprawy. Różne przechodziło koleje, rozwinęło się w silną gminę, jakbyśmy powiedzieli, chłopów-rolników, którzy czas swój dzielili między zajęcia rolnicze i wyprawy wojenne. Te wojny pierwotnie miały charakter bójek sąsiedzkich przy zatargach granicznych, zajęciu bydła i sporów rodzinnych. Przez cały czas swego istnienia zachowała republika rzymska cechy grupy rolniczej i wojskowej, przywiązanej do ziemi, do tradycji, spokojnej i rozważnej, ceniącej wolność, mającej wysoko rozwiniętą miłość własną, zaprawionej do trudów, odważnej i zawziętej. Po rewolucji r. 509 przed Chr. i usunięciu instytucji królewskiej, której ostatnimi przedstawicielami byli, jak się zdaje, Etruskowie, władza przeszła w ręce ojców rodów, posiadających w swem ręku ziemię. Rzym był od czasu tej pierwszej rewolucji, aż do drugiej rewolucji w I. w. przed Chr. republiką arystokratyczną, w której władza dziedzicznie przechodziła z pokolenia na pokolenie. Polityka Rzymu to polityka Senatu rzymskiego; mądrość tej polityki to mądrość starszyzny.

W miarę wszakże, jak się rozszerzały posiadłości Rzymu, jak przyłączano doń coraz nowe ludy i obszary, powiększała się ilość mieszkańców miasta. Obok członków rodów pierwotnych zjawiła się ludność nowa, nie posiadająca naprzód obywatelstwa, a później dopuszczona do obywatelstwa z ograniczonemi prawami. To są właśnie plebejusze. Walki plebejszów z patrycjuszami są następstwem dobijania się tych nowych przybyszów o równe prawa z dawnemi mieszkańcami miasta. Senat rzymski praw tym przybyszom nie chciał dać bez walki — i miał słuszność. Rozumieli doświad-

czeni senatorowie rzymscy, jak zgubną dla republiki rzeczą byłoby dać władzę ludziom niczem z nią niezwiązanym, nie wierzącym w tych samych bogów, nie przywiązanym ani do ziemi, ani do tradycji, nie przejętym gotowością oddania życia za jej istnienie. W miarę wszakże, jak ci nowi przybysze stawali się „rzymianami", ustępowano wobec ich żądań. Ustanowiono nawet instytucję, które miały służyć „uobywateleniu" tych nowych obywateli — trybunat. Ktoś sądzący powierzchownie mógłby powiedzieć, że trybunowie ludu byli organem nieustającej, zorganizowanej i uprawnionej walki wewnętrznej. Tymczasem instytucja ta wiązała się organicznie z całym sposobem, myślenia politycznego Rzymian. Wiedzieli oni — że nie „oświata" polityczna, lecz praktyka robi z ludzi obojętnych prawdziwych obywateli; dlatego uznali walkę polityczną wewnętrzną za szkołę życia obywatelskiego i za przygotowanie do pełnego posiadania praw. Walki senatu z ludem nie są plamą na życiu republiki, lecz jedną z przyczyn jej wielkości.

Dobry ustrój polityczny i mądra polityka wewnętrzna były przyczyną powodzenia Rzymian i pozwoliły im, zjednoczywszy pod swem panowaniem Italję, zmierzyć się z panującą wówczas na Morzu Śródziemnem potęgą morską — Kartaginą.

Dzieje wojen punickich dają nam dokładny obraz przewagi Rzymu i czynników, które tę przewagę Rzymowi dały. Miał on przeciw sobie lud, wyćwiczony w żeglarstwie, sam nie posiadając ani floty ani żeglarzy, miał przeciw sobie lud, posiadający wielkie bogactwo, sam będąc biednym, miał przeciw sobie największego wodza swego czasu — Hannibala, a mimo to zwyciężył. Zwyciężyły zaś w wojnach z Kartaginą, obok żołnierzy rzymskich, instytucje rzymskie i mądrość senatu rzymskiego. Kto chce szukać nauki politycznej, ten niech jej szuka w Rzymie epoki Scypjonów.

To wielkie powodzenie, jakiem było zniszczenie potęgi Kartaginy i otwarcie sobie drogi do panowania na morzu Śródziemnem, stało się jednocześnie przyczyną kryzysu wewnętrznego dla Rzymu.

Arystokracja rodowa za pośrednictwem senatu, opartego o siłę i cnoty rolniczo-wojskowej ludności Rzymu, wzięła w w. III, II przed Chr. w swe ręce rząd nad całym ówczesnym światem cywilizowanym, podobnie jak w wieku XVIII i XIX po Chr. arystokracja angielska, rządząca za pośrednictwem parlamentu, zapanowała nad znaczną częścią powierzchni ziemi, tworząc imperjum W. Brytanji.

Ten wielki wypadek pociągnął jednak za sobą cały szereg następstw. Powiększyła się przedewszystkiem ilość ludności republiki. Rzym stał się stolicą wielkiego państwa i rozrósł się potężnie. Obok dawnych patrycjuszowskich i plebejuszowskich równouprawnionych wkońcu rodów, zjawili się przybysze ze wszystkich ziem podległych Rzymowi. Zamieszkali oni na stałe w stolicy i brali coraz czynniejszy udział w jej życiu. W masie całej ludności dawny ośrodek Rzymu stawał się coraz mniejszy. Rozrost państwa zmienił do gruntu całe życie gospodarcze. Rolnictwo przestało być głównem zajęciem jego mieszkańców. Rozwinął się handel i rzemiosło. Bogactwa ze wszystkich stron zaczęły napływać do stolicy. Obok arystokracji rodowej zjawiła się arystokracja pieniężna. Pod wpływem nowych żywiołów ludzkich i pod wpływem złota zaczęło się rozprzęgać życie społeczne. Pękły dawne więzy społeczne, utraciła przewagę starszyzna rodów rolniczych, a w dodatku nowy układ ekonomiczny niweczył dawny układ społeczny. Wraz z tem wszystkiem zjawiły się nowe prądy duchowe. Gdy Rzym zawładnął Grecją, rozpowszechniła się w stolicy republiki znajomość języka greckiego. Myśl i sztuka grecka podbiły elitę rzymską. Zapoznanie się z kulturą hellenistyczną miało duży wpływ na życie duchowe Rzymu. Zetknięcie się z nią nastąpiło w chwili, gdy w Grecji panowała głęboka rewolucja duchowa. Zresztą indywidualistyczna myśl grecka, pociągająca swemi powabami, pięknością formy w jaką była przyobleczona, równocześnie uderzała w podstawy zgoła odmiennego, jak to się starałem poprzednio uwydatnić, sposobu myślenia Rzymian. Później Rzym przerobił to, co wziął od Grecji, i przekazał następnym wiekom swą grecko-rzymską kulturę, na początku wszakże działała greczyzna rozkładowo, jak zgodnie stwierdzają wszyscy Rzymianie ówcześni.

Te potrójne wpływy — polityczne, gospodarcze i duchowe — zniweczyły dawne ustrój społeczny i polityczny, przeobraziły umysłowość pokoleń, począwszy od wieku II, i sprowadziły rewolucję, która rozpoczyna się od reform Grakhów a kończy się ujęciem władzy przez Juljusza Cezara. Inaczej być nie mogło — imperjum, obejmujące wszystkie kraje położone nad morzem Śródziemnem nie mogło być rządzone tak, jak była rządzona chłopska arystokratyczna republika nad Tybrem, lub na całym półwyspie Apenińskim. Republika była skazana na śmierć, trzeba było innego ustroju, by Rzym mógł wypełnić swą misję dziejową. Narzędziem losu w dokonaniu tej rzeczy koniecznej stał się Juljusz Cezar.

LITERAT

Słuchałem dotychczas spokojnie. To jednak wyprowadza mnie z równowagi. Republika rzymska nie była doskonała, bo istotnie rządziła w niej oligarchja, broniąca zazdrośnie swych przywilejów. Wolność i równość obowiązywały tylko w jednej grupie społecznej. Lecz była to bądź co bądź republika, gdzie szanowano prawo, gdzie była wolność opinji, gdzie lud mógł walczyć przynajmniej o swe prawa. Cezar natomiast był uzurpatorem, tyranem, demagogiem, który wziął lud za narzędzie do obalenia nietylko władzy senatu, lecz także do obalenia porządku prawnego, do zniesienia republiki i postawienia na jej miejscu nieograniczonego niczem jedynowładztwa. Zostały zniesione prawo i wolności obywatelskie, zapanował najstraszniejszy ucisk, samowola doprowadziła do zupełnego rozkładu społeczności rzymskiej. Następcy Cezara zaś dali światu widowisko rozpasania i zepsucia, jakiego nigdzie ludzkość nie oglądała. Wszystko to zaś skończyło się upadkiem Rzymu, zalaniem go — jak wówczas mówiono — przez barbarzyńców. Zginął Rzym z całą kulturą, jaka wytworzyła się za czasów republikańskich, nastąpił mrok średniowiecza, cofnięcie się ludzkości wstecz, panowanie ciemnoty i przesądów, upadek sztuki i piśmiennictwa, ucisk ludu, panowanie możnych. Trzeba było dopiero powrotu do kultury greckiej, do zasad wolności i równości, by rozproszyć ten mrok wieków średnich słońcem epoki odrodzenia. Ludy Europy zaczęły powoli odbudowywać rozwaloną w gruzy kulturę, by stopniowo dojść drogą stałego postępu do tej wyżyny, na jakiej stanęła Europa w wieku XIX. We Francji dokonał się przewrót najpierw, tam ostatecznie padły fortece feudalizmu, a pisarze epoki oświecenia sformułowali ostatecznie zasady, na których opiera się całe życie społeczne i polityczne narodów europejskich i które są źródłem ich kulturalnego rozwoju. Jeżeli zaś bliżej się przyjrzeć tym zasadom, to przekonamy się, że są to te same, które były podstawą rozwoju kulturalnego Aten z epoki Peryklesa. Tylko, że ludzkość współczesna poprowadziła o wiele dalej konsekwencje tych zasad i wcieliła je

o wiele szerzej w życie społeczne i polityczne. To też ludzkość kroczy znów śmiało i krokiem pewnym mimo ciągłego oporu reakcji — po drodze postępu ku świetlanej przyszłości.

Złudzeniem też jest, że ludzie dadzą sobie odebrać największy skarb, jaki posiadać mogą — wolność, i że lud pozwoli sobie wydrzeć tak ciężko i krwawo zdobyte w ciągu wieków równouprawnienie. Złudzeniem jest, że ludzkość może być cofnięta z drogi prowadzącej ku zapanowaniu w stosunkach międzynarodowych zasad braterstwa i pokojowego współżycia. W miarę, jak niknąć będą z powierzchni ziemi trony, jak lud będzie obejmował wszędzie władzę w swe ręce znikać będą tendencje zaborcze i będące ich wyrazem wojny. Nie Cezar, lecz Brutus był przedstawicielem przyszłości.

POLITYK

Z szeregu podniesionych objekcyj odpowiem naprzód na jedną—powiem co myślę o roli Juljusza Cezara i o roli jego dzieła, Imperjum Rzymskiego.

Wszyscy zgadzają się na to, że Cezar był człowiekiem wyjątkowych zdolności, że niemasz w przeszłości Europy nikogo, ktoby mu dorównywał umysłem i charakterem, że był to wódz przewyższający innych, że miał talent polityczny niepospolity, że był to mąż stanu w całem tego słowa znaczeniu. Dokonał też rzeczy wielkiej, bo Imperjum Rzymskie jest rzeczą wielką.

Trzeba się bliżej przyjrzeć temu, tak zwanemu, zepsuciu następców Cezara. Naprzód należy stwierdzić, że obok Tyberjusza, Kaliguli i Nerona byli: August, Trajan, Hadrjan i Marek Aureljusz, ludzie nietylko mądrzy, lecz i dbali o dobro państwa. Jeśli się bliżej zapoznać z dziejami Imperjum Rzymskiego, to szybko się można przekonać, że nic ograniczają się one do opowieści o życiu prywatnem i domowem Cezarów, co stanowią niekiedy główną treść dzieł Tacyta i Swetonjusza. Poza tem były wielkie wysiłki i praca twórcza, zmierzające do zorganizowania siły wojskowej, broniącej granic Imperjum, do zorganizowania administracji całego terytorjum, do uregulowania życia gospodarczego. Wynikiem zaś tych wysiłków i tej pracy było to, co się nazywało pax romana, co było zabezpieczeniem światu cywilizowanemu w ciągu kilku wieków możności spokojnej pracy i rozwoju kulturalnego. Dziś jeszcze w krajach, które stanowiły niegdyś Imperjum Rzymskie, spotykamy ślady tej pracy w postaci dróg i wodociągów, gmachów publicznych i t. d. Czyż dzieło to nie zasługiwało na to, by zostało okupione ograniczeniem wolności osobistej jednostek i rezygnacją z niemożliwej do osiągnięcia równości powszechnej.

Rzym upadł. Dokonały tego plemiona germańskie, które przekroczyły granice Imperjum i spustoszyły jego terytorja. Upadł jednak wskutek wyczerpania się sił wewnętrznych, wskutek osłabienia ducha armji, zepsucia się instytucyj i upadku charakterów. Było to znów koniecznością historyczną, następstwem działania przyczyn, które dziś jeszcze można rozpoznać. Imperjum Rzymskie opierało się na armji i na tem, cobyśmy dziś nazwali, biurokracją. Jego rozrost zniszczył stopniowo grupę społeczną, która zrobiła wielkość Rzymu republikańskiego i zdobyła dlań panowanie nad światem — rolniczo-wojskową ludność Rzymu pierwotnego. Bez takiej grupy zaś, jako ośrodka, państwa istnieć nie mogą. I trzeba było szeregu wieków, by z materjału ludzkiego dostarczonego przez „barbarzyńców“ i z doświadczenia i z dorobku Rzymu powstały nowe, nieznane dawniej, grupy społeczne—narody, które stały się twórcami państw nowożytnych i dziś są decydującemi czynnikami historji.

Rzym upadł, lecz nie zginęło jego dzieło. Rzym utrwalił i rozpowszechnił kulturę grecką i uzupełnił ją własnym dorobkiem w dziedzinie organizacji państwowej i społecznej, a potem w postaci kultury grecko-rzymskiej przekazał pokoleniom następnym. Dziś wszystkie narody Europy, a w szczególności narody kultury łacińskiej, żyją z zasobów nagromadzonych i przechowanych przez Rzym. Gdziekolwiek sięgnąć w życiu spółczesnem wszędzie dochodzi się w ostateczności do spuścizny rzymskiej. Wystarczy pamiętać o tem, co dał Rzym starożytny organizacji kościoła katolickiego, który przemawia do swych wiernych językiem Rzymian, by uświadomić sobie jego rolę dziejową.

Dzieło Cezara niema sobie równego w historji. Podziw ogarnia, gdy się ogląda jak wielkich reform dokonał w ciągu sześciu niespełna lat swych rządów. Rozkwit kultury, sztuki i piśmiennictwa za czasów Augusta świadczą, jak głęboko w całe życie ówczesne sięgnęły reformy Cezara. Jeszcze większy podziw przejmuje, gdy się patrzy na to, jaki wpływ wywarł Cezar na dalsze losy Europy. Można powiedzieć, że rozwój ludów europejskich poszedł po linji wykreślonej przez Cezara. Podbicie Galji i zatrzymanie Germanów na Renie wprowadziło ludy Europy północno-zachodniej w orbitę cywilizacji rzymskiej. Gdyby Cezar nie był pobił Arriovista i nie wykreślił granicy Imperjum na Renie, upadek Rzymu nastąpiłby napewno o kilka wieków wcześniej, a dzieje Europy byłyby zgoła odmienne. Granica Renu, oznaczona przez Cezara, jest po dzień dzisiejszy granicą, o którą walczą dwie cywilizacje i dwie kultury. Z pewnością budzi w nas żywe współczucie Vercingetorix, jako przedstawiciel ludu, walczącego o swą wolność, lecz jeśli spojrzeć na wypadki z punktu widzenia interesów ludzkości, używając to słowo w sensie realnym a nie mistycznym, to trzeba stanąć po stronie Cezara przeciwko Vercingetorixowi. Daje temu świadectwo Francuz współczesny Paul Cazin, który powiada: „*Rome a detruit Bibracte, mais construit Autun: Rome a vaincu, mais Rome a enseigné, legiferé, civilisé, et c'est Rome qu' honorent instinctivement les descendants de Vecingétorix*“.

Upadł Rzym, lecz gmach wzniesiony przez Cezara ostał się wśród burz dziejowych, a narody, które są najbliższemi dziedzicami cywilizacji rzymskiej, gmachu tego bronią i dalej go rozbudowują.

I kto wie, jak odmiennemi jeszcze drogami potoczyłby się wóz cywilizacji rzymskiej, gdyby miecze sprzysiężonych nie były przecięły nici żywota Cezarowego. Nie rozstaję się z Plutarchem, przeczytam więc Panom ustęp z żywota Cezara: „Powziął zamiar wypowiedzenia wojny Partom i robił do tej wojny przygotowania. Zamierzał po podbiciu Partów, przejść Hirkanię wzdłuż brzegów morza Kaspijskiego i gór Kaukazu, rzucić się następnie na Scytję, podbić wszystkie kraje sąsiadujące z Germanami i Germanów samych i powrócić do Italji przez Galję. Chciał w ten sposób zaokrąglić Imperjum, które ze wszystkich stron miałoby na granicy Ocean“. Plan wielki, prawie fantastyczny, lecz trzeba zapytać, czy niemożliwy, gdy się ma w pamięci wyprawy Aleksandra Macedońskiego i podboje dokonane przez wodzów rzymskich w Azji i Afryce. W każdym bądź razie plan, świadczący o genjuszu politycznym Cezara — chciał on w zarodku zniszczyć to niebezpieczeństwo, które, jak wiemy dzisiaj, stało się siłą, która zniszczyła Imperjum Rzymskie i która dziś jeszcze walczy z narodami łacińskiemi.

Pomimo wieków całych pracy i walk dzieło Cezara nie jest jeszcze skończone, dalsza budowa gmachu spadła jako obowiązek na narody łacińskie i na te narody, które na tej kulturze łacińskiej wyrosły.

STANISŁAW KOZICKI

W OBRONIE ZACHODU

II

EUROPEJCZYCY, którzy wyznają, że cywilizacja Europy im nie wystarcza (Romain Rolland, Kayserling i t. p), co mówią, że padł na nią zmierzch— i dlatego zwracają się z ufnością do światła Wschodu, albo mają tak umysł swój nastawiony, iż nie potrafią już korzystać z jej prawd żywotnych, albo są tak znużeni jednostajnością jej form bądź ujemnością objawów, że za wszelką cenę szukają od nich ucieczki, łudząc się, że na tle zmienionych dekoracyj, życie ich osobiste stanie się powabniejszem i nabierze większego sensu. (Rzecz jasna, nie mamy tu na względzie rozmaitych przedsiębiorców od rozpowszechniania odpowiednio spreparowanej na użytek gawiedzi, bądź polityki „mądrości“ Wschodu, lecz tylko ludzi dobrej woli i czystych zamiarów).

Zawodne nadzieje! Światło Azji wiedzie bowiem do mgławic i bezkształtu, gubi idących za niem — w bezmiarach i odmętach nieokreśloności; mądrość, co zeń promieniuje na ziemię, zachęca jednostkę ludzką do roztopienia się w wszechbycie, do unicestwienia własnej osobowości.

„Sprzeczność radykalna, zasadnicza pomiędzy Wschodem i Zachodem, spoczywa—powiada Massis— („*Défense de l'Occident*“ 203 str.) w różnicy idei, jaką każdy z nich stwarza sobie o człowieku i jego stosunku do wszechświata. Na Zachodzie człowiek chciał b y ć; nie godził się on na zgubienie w rzeczach, na to, by osoba ludzka była niczem innem, jak tylko przybudówką natury, która dla Azjaty roztacza się w złudnych kształtach żyjących i pogrąża całość życia w otchłani olbrzymiej dwuznaczności. Tego rodzaju opór, oto co charakteryzuje Zachód. Rozróżnianie, wybór — oto znamię jego myśli, sformułowanej od najdawniejszych czasów w klasycznem zdaniu Anaxagorasa: „na początku wszystko było zmieszane; przyszła inteligencja, która postawiła każdą rzecz na swojem miejscu“.

Z widoku tego ładu, tych hierarchij intelektualnych, jakich on wymaga, z pojęcia różnic i podobieństw, wynika, wskutek czynności racjonalnej i naturalnej jednocześnie, nauka o tem, co jest ogólne, a w szczególności ten rozwój osobowości, jaki uderza odrazu w dziejach Zachodu“. [1])

Całe życie duchowe i moralne Zachodu wypływa z pojęcia osobowości ludzkiej, która poprzez swoje kolejne sposoby bycia, swoje odrębne stany, dochodzi do poznania swego rzeczywistego istnienia, swej jedności, — mając zaś wskutek tego poczucie swego autonomicznego stanowiska wobec wszechświata, w którym nie tonie bez wieści, lecz i nie odrywa się od niego, czyni go przedmiotem swego podziwu i zastanowienia, a także swego działania.

Wręcz przeciwnie dzieje się na Wschodzie. Wszelkie jego koncepcje teozoficzne, wszelkie jego filozofje prowadzą do unicestwienia osobowości ludzkiej i do stłumienia działania; w jednem i drugiem upatrują cel istnienia ludzkiego, najpoważniejszą drogę wyzwolenia z jarzma bytu. Cała mądrość Wschodu, najsubtelniejsze jego religje (buddyzm) pouczają, że po to, by się stać doskonałym, trzeba zgasić czyn, zgasić istnienie, stłumić wszelką żądzę. Religja Zachodu co innego głosi. „Ojciec mój nie przestaje czynić — powiadają ewangelje — i ja także czynię“. Wiara chrześcijanina jest prawdą czyniącą; doskonałość dla niego to miłość Boga, który jest czynem samym, istnieniem nieskończonem, przedmiotem najwyższego pożądania. Pan Bóg dla człowieka Zachodu, jest to niezrównany pomnożyciel życia ludzkiego, dla Azjaty jest on otchłanią niezgłębioną, próżnią samą.

Dla brahmana hinduskiego, dla ascety chińskiego, osobowość ludzka jest upadkiem człowieka, dla chrześcijanina leży ona właśnie w zamiarach boskich, jest zasadą jedności, szczytem naturalnym stworzenia.

Całe życie moralne, społeczne, polityczne Zachodu w tem, co ma ono w sobie najpłodniejszego i najskuteczniejszego — utrzymuje słusznie Massis — wypływa z powyższych jego pojęć metafizycznych i religijnych, które regulują jego bieg. Z tej idei jedności transcedentalnej, rodzą się według głębokiej harmonji pomiędzy naturą i rozumem, pomiędzy tem, co słuszne a tem co dobre, pomiędzy myślą i działaniem, te wszelkie zasady kierownicze, wszelkie pojęcia ochraniające ludzkość, których całość składa się na ustawodawstwo ducha ludzkiego.

Dusza przeto Europy i cywilizacji zachodniej, jej pojęcie życia i wszechświata, jej zasady rozpoznania oraz oceny moralnej, aż do jej pojęcia nauki, wszystko to — wnioskuje autor „Obrony Zachodu“ — zostało stworzone przez chrystjanizm. On stawiał umysłowi naszemu najważniejsze i najsubtelniejsze zagadnienia, które go chroniły od zastoju, podniecały i poruszały przez szereg stuleci. Dziś więc, kiedy Wschód wytyka Zachodowi błędy i ułomności jego cywilizacji; kiedy zarzuca jej bezduszność i jałowość; kiedy nadto rozmaici „europejczycy“, z tych lub innych powodów, wszczynają ten sam proces, i w ideologjach wylęgłych w puszczach Indyj, czy bagniskach Chin, odnajdują ten odżywczy pokarm dla ducha, jakiego u siebie spostrzedz nie zdołali — dobrze jest o tem pamiętać i szukać środków zaradczych na własne niedomagania tam, gdzie one oddawna się znajdują.

Chrystjanizm, w tym wypadku, znaczy Kościół rzymsko-katolicki, gdzie się jego istota wyraziła najzupełniej, to ta instytucja powszechna chrześcijaństwa, króra wyrosła zarówno z prawdy objawionej, jak i z racjonalizmu umysłu ludzkiego, co uratowała i zorganizowała najżywotniejsze pierwiastki kultury duchowej świata starożytnego, zwłaszcza grecko-łacińskiego, i przekazała ją światu nowożytnemu, umacniając ją nieśmiertelną ideą odkupienia.

Kościołowi katolickiemu zawdzięcza cywilizacja zachodnia nietylko główne swoje pojęcia jedynego Boga, jednej prawdy i jednego człowieczeństwa, lecz zarazem pojęcie jednego prawa, oraz jednej powszechnej i wspólnej moralności. To wszystko, co w późniejszych wiekach aż do naszych czasów odrywało się od Kościoła katolickiego, — wszelkie tak liczne odszczepieństwa od niego — rozbijały tylko ustanowioną przez niego zasadę jedności powyższej, rozbijając zarazem podstawy cywilizacji zachodniej, rozluźniając związek dusz w społeczności ludzkiej, na co tak się żalą dzisiejsi jej krytycy i odstępcy, którym ona już „nie wystarcza“.

Jeśli więc do tego związku, do tej powszechnej wspólności duchowej tak rwą się ich dusze, byłoby rzeczą naturalną, żeby się zwracały po radę

[1]). Podobny pogląd na zagadnienie Wschodu i Zachodu rozwijał niżej podpisany przed laty, z powodu „ducha“ bliższego, europejskiego Wschodu, w książkach swoich „Dokoła Sfinksa“ i „Dwie kultury“, — tembardziej podziela go, więc gdy mowa o Dalekim Wschodzie. Massis poświęca sporo miejsca charakterystyce kultury rosyjskiej, są to wszakże rzeczy lepiej nam znane.

i ratunek do zasad i tradycji raczej tej instytucji chrześcijaństwa, która ów związek zatwierdziła i ujawniła światu, niż do mętnych źródeł mądrości wschodu, oraz idej przewodnich jego kultury duchowej, niweczących w zarodku rozwój życia powszechnego.

Stojącym jednak pod urokiem „kultur azjatyckich" widocznie trudno się zdobyć na logiczne, konsekwentne myślenie. Oto n.p. Romain Rolland, który, jak wiadomo, tak był spragniony powszechnego związku dusz, że aż nadwyrężył naturalny związek z własnym narodem — i to w momencie najcięższych dla niego przeżyć — w swojej książce o nacjonaliście hinduskim, Gandhim, zachwyca się nad jego programem „powrotu do badania systematycznego kultur azjatyckich, aby odszukać tajemnicę mocy narodowej". Zdawać by się mogło, że przez to samo, R. Rolland zachęca, dla podobnego celu europejczyków do studjów nad kulturą grecko-łacińską, do zwrotu ku jej tradycjom i dyscyplinom? Gdzież tam! Doradza on, przeciwnie, badanie zagmatwanej metafizyki i teologji wschodniej, spodziewając się od nich odrodzenia Zachodu. Niema w tem ani logiki, ani zdrowego sensu,— jest natomiast dyletanckie bałamuctwo i fałszowanie prawdy.

Doskonale ośmiesza tego rodzaju dyletantyzm europejskich „orjentalistów", jeden z najwybitniejszych myślicieli Francji katolickiej, Jacques Maritain, robiąc uwagę, że dość byłoby nazwać hinduską Baghavadt Gita Summą św. Tomasza, a z soboru trydenckiego zrobić zgromadzenie lamów tybetańskich, słowem przystroić w łachmany azjatyckie naszą religję, żeby tego rodzaju pięknoduchy odkryły ją i zaczęły podziwiać jej głębie.

Zamiast nauki racjonalnej, albo doktryny objawionej, proponują nam — powiada tenże — jakąś pseudo-tradycję, która nie może się powołać na objawienie boskie, ani na rozum ludzki, a której źródło umieszcza się w jakimś „zbiorniku mądrości" utworzonym „przed pojawieniem się człowieka na ziemi", przez jakieś „bardziej uduchowione istności", bądź też „organizmy psychiczne".

W imię tej pseudo-tradycji zwalczają dzisiaj chrystjanizm europejscy wielbiciele mądrości Wschodu, podobnie jak w początkach jego powstania na ziemi zwalczał go w szeregu wieków azjatyzm, występujący przeciw jedności Kościoła. Sekty wschodnie pierwszych wiekow chrześcijaństwa zwalczały go w imię mistycyzmu irracjonalnego, — w imię takiegoż mistycyzmu, tylko mniej naturalnego, bardziej sztucznego, zwalczają go dzisiaj przeróżne sekty na Zachodzie, wzrosłe w atmosferze licznych zwyrodnień jego cywilizacji, w okresach rozstroju jedności jego kultury duchowej.

Jeśli jednak ów mistycyzm mógł być zrozumiały na Wschodzie, jako zgodny z filozofją oraz religją Azjaty, głoszącemi nicość bytu i osobowości ludzkiej, to już staje się mniej zrozumiałym i bardziej podejrzanym na Zachodzie, tu bowiem filozofja i religja stawiały sobie za cel rozwój tej osobowości.

Niepodobna jednak idei intelektualnego i moralnego jej rozwoju odłączyć od idei ładu w społeczeństwie ludzkiem t. j. hierarchji, władzy i prawa, w co właśnie godzi ten azjatycki mistycyzm, a co ustanawia chrześcijaństwo i Kościół katolicki.

Dlatego więc jesteśmy zdania — na co poprzednio zwracaliśmy już uwagę,—że cywilizacji zachodniej mniej zagraża istotna mądrość Wschodu, tak wyniosła i zarozumiała wobec niej dzisiaj — (co szczególniesza, gdy uznała za dobre dla jego przyszłości wszelkie „szatańskie" jej pomysły i wynalazki) — niż ta pseudo mądrość wschodnia, będąca wytworem samego Zachodu, wylęgła w zbłąkanych duszach i zanarchizowanych mózgach jednostek, z tych lub innych względów zrywających z jego wielkiemi tradycjami cywilizacyjnemi.

Przepowiedni, że „Azja zwycięży nas duchem, jak niegdyś zwyciężył Rzym i Ateny" (R. Rolland), można się nie obawiać, ten duch bowiem azjatycki, sam przez się jest za słaby, by mógł zapanować nad duchem cywilizacji zachodniej. Grozi jej natomiast zatruty duch samych europejczyków, którzy podrywają jej fundamenty propagując płytki mistycyzm bez chrześcijaństwa, a tę swoją destrukcyjną działalność usprawiedliwiają rzekomą wyższością kultury duchowej Wschodu nad kulturą Zachodu. Jak się przedstawia owa wyższość — mówiliśmy o tem dostatecznie; nie stąd więc można spodziewać się zbawczej myśli dla nędzy duchowej naszego świata i odrodzenia jego cywilizacji. Przedewszystkiem przez wzmocnienie jej podstaw odwiecznych, przez wznowienie właściwych jej tradycyj — może nastąpić jej odrodzenie.

Cywilizacja zachodnia uratować się może od stanowczego rozkładu, któremu ulega nie od dzisiaj i nie od wczoraj, lecz od kilku wieków, tylko przez odzyskanie tego, co w tym czasie utraciła, mianowicie jedności moralnej, która jest najwyższem dobrem wszelkiej cywilizacji.

Dla braku tej jedności stargany został związek dusz ludzkich, które nie dążą wspólnie do jednego celu, nie uznają jednej prawdy, kierującej ich czynami, żyją w rozterce i nieufności wzajemnej, zużywając na wrogość i niezgodę wszelkie siły twórcze. Słabość zanarchizowanej, pod względem intelektualnym i moralnym Europy, jej „zmierzch" cywilizacyjny, tkwi w jej duchu rozbitym, miotanym sprzecznemi zasadami i dążeniami, nie zdyscyplinowanym jedną myślą i jedną wiarą.

Ta słabość ducha cywilizacji Zachodu była przyczyną potwornego w naszych czasach jego zmaterjalizowania się, umożliwiła zapanowanie w jego życiu zbiorowem brutalnych instyktów natury ludzkiej, o czem z taką wzgardą odzywają się dzisiaj heroldowie odradzających się „Kultur azjatyckich" i ich europejscy wielbiciele.

Uzdrowić ducha Zachodu mogą tylko te jego czynniki cywilizacyjne, które zawsze w ciągu wieków prowadziły społeczność ludzką drogami jedności moralnej, wiązały ludzi pomiędzy sobą jedną prawdą i jedną wiarą. Czynniki te istnieją w łonie samej cywilizacji zachodniej, są skupione w instytucji, która jest najwyższym jej wykwitem, mianowicie w Kościele rzymsko-katolickim. W nim się przechowują stałe miary i pewne normy, które już niejednokrotnie służyły ludzkości w wielkim dziele moralnego ujednostajniania życia powszechnego.

Jeśli cywilizacja Europy przestała być chrześcijańską, co jej właśnie Wschód zarzuca (Gandhi i t. p.), to jej uchrześcijanienie może być dziełem tylko tej instytucji chrześcijaństwa, która zachowała całkowitą jedność jego nauki, a tą jest Kościół katolicki. Od niego więc rodzaj ludzki może spodziewać się wyprowadzenia swego życia zbiorowego z chaosu duchowego — nie zaś od t. zw. mądrości Wschodu, która jest sama chaosem duchowym oraz negacją istoty bytu, nie mówiąc już o tych rozmaitych pseudo - mądrościach wschodnich fabrykowanych na Zachodzie, będących niczem innem jak tylko produktem rozkładu jego cywilizacji, osadem zjadliwym w jego kulturze duchowej.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

WALKA O TRADYCJĘ

ŻYJEMY w okresie, gdy Polska poszukuje tradycji, którąby jej życiu przyświecała i staje wobec dwu kierunków, z których każdy reprezentuje tradycję: jeden się powołuje na Chrobrego i Piastów — drugi na Jagiellonów i Unję. W obliczu walki dwu kierunków o Polskę warto posłuchać głosów przeszłości.

I. Tradycja Chrobrego — to zjednoczenie szczepu lechickiego od Bugu po Elbę, pod berłem Piastów, uczynienie z Wisły i Odry polskich rzek. To poddanie Kościołowi całej słowiańskiej i pruskiej północy. I po Bolesławach żyła ta myśl państwowa, najmocniej w Wielkopolsce, która w rozbiciu dzielnicowem potrafiła odzyskać Pomorze i odbudować polską monarchję. Wskrzesili tą piastowską rację stanu Łokietek i Kazimierz w walce bez wytchnienia o Śląsk i Pomorze, czy to orężnej, czy dyplomatycznej. I nawet zdobycie Rusi było tylko etapem w walce o zachodnie ziemie polskie. I szła ta racja stanu przez „inkorporację" Litwy do Grunwaldu i dalej, do odzyskania Pomorza, i niedwuznacznie sięgała po Śląsk, w dobie wojen husyckich. Sięgała świadomie: ze łzami w oczach z łoża śmierci błogosławił wódz narodowego kierunku, Zbigniew Oleśnicki, rycerstwo, które szło zdobywać Śląski Zator. Najwybitniejszym, najbardziej świadomym reprezentantem tej tradycji w ówczesnem piśmiennictwie jest Jan Długosz. Z każdego słowa dzieł jego bije tradycja pięciu wieków Polski piastowskiej, Polski która parła na Zachód — niechętnie wikłając się na wschodzie. Stąd doniosłość studjów nad Długoszem i wogóle nad średniowieczem. Bo już Długosz żył w czasach przełomu i ten przełom widział i po imieniu nazywał: z kierunkiem narodowym Oleśnickiego walczył Kazimierz Jagiellończyk w imię dynastycznej polityki. Złamał go — i zaprzepaścił Śląsk, by zdobyć dla dynastji koronę czeską. Pod ciosami jego polityki upada stara, piastowska racja stanu, — przychodzi coś napół narodowego — napół dynastycznego — coś, co Prusy zdobywa, ale daje „siostrzeńcowi", Hohenzollernowi. Warto znów badać ten okres kończącej się starej Polski, w dziełach chociażby Stanisława Górskiego. Nie tylko katolicyzm tonął w zalewie protestanckim—ginął też dawny narodowy duch, ustępując luterskim czy rakuskim sympatjom. Tak wśród naporu niemieckiego protestantyzmu usuwała się w mrok zapomnienia idea Polski piastowskiej, by z nową siłą, z głębin narodu, odrodzić się w czasach niewoli. Bo wracająca do katolicyzmu Polska XVI wieku zastała przed sobą nowe stosunki i nowe zadania. Te ją pochłonęły.

II. Unja postawiła przed życiem polskiem litewską rację stanu, którą słusznie nazwać można ideą Jagiellońską. O ile była polityka Jagiellonów w Polsce kierunkiem dynastycznym, o tyle na Litwie wręcz narodowym. Ale były między piastowską i jagiellońską polityką liczne punkty styczne.

Idea Jagiellońska jest dzisiaj wręcz fałszywie pojmowana. Polityka Gedyminowiczów była prosta i jasna: chodziło o zjednoczenie ziem litewskich, chodziło o wolny wylot ku morzu, wzdłuż litewskich rzek — Niemna i poniekąd Dźwiny. Tej polityce służyły podboje na Rusi, i unja z Polską, i ciągły nacisk na Rygę i Inflanty. Gałąź Jagiellońska w czystości utrzymywała tę linję, aż do wygaśnięcia, — walcząc z naciskiem litewskiej Rusi. Tak obojętnie patrzał Kazimierz Jagielończyk, jak Iwan III odbierał mu ziemie ruskie, zgoła niebezpieczne: Litwie stale groziło zmajoryzowanie przez żywioł ruski. Taką była polityka Jagiellońska. Wbrew niej stawał żywioł ruski, pociągając za sobą nawet część dynastji — ku naszym podbojom na wschodzie, a wbrew narodowej racji stanu Litwy.

Ruś bowiem stale, od wieków dążyła do zjednoczenia. I zdawało się, że pod egidą Litwy, przeciw Tatarom, to zjednoczenie uda się jej osiągnąć. Zmierzała więc do tego świadomie, pchając Litwę do podboju Moskwy, ruszcząc ją obok tego kulturalnie i językowo. Póki żyli Jagiellonowie, był ośrodek oporu— potem ruskie wpływy zwyciężyły. Zaczęły się plany to elekcji cara na króla polskiego, to podboju Moskwy, to unji, to trwała zaciekła z carami rywalizacja. Po unji lubelskiej panowie ruscy wciągnęli w swe plany także Koronę, wbrew odwiecznym tradycjom pociągając żywioł polski do podboju Wschodu. Zdaje się, że w jednej Wielkopolsce żyło ognisko oporu, — bezsilnego, po dziś dzień niezbadanego.

Tej neutralności ruskiej i tej ruskiej racji stanu jeden tylko kierunek skutecznie się czasem przeciwstawiał: to byli politycy z Z. Czerwieńskiej — od Zamoyskiego do Sobieskiego. Żywem w nich było zawsze poczucie polskości, i jak Zamoyski pokonał Habsburgów, tak Jan III sięgał po Prusy Wschodnie. Niechętnie też widzieli oni podboje na wschodzie, które nie służyły naddunajskim sprawom. Bo istotnie interesy i samo położenie zawsze wiązały Ziemię Czerwieńską z Dunajem Dolnym — jak Kraków patrzał ku Górnemu. Nad Dunajem stała wówczas Porta, i z jej naporem starł się ów kierunek. Ale przewaga jego w Polsce trwała tak długo, jak tureckie niebezpieczeństwo. Przeszła ona, jak świetny epizod, a na placu zostały ruskie wpływy i ruska neutralność, rządząca słabą i rozprzężoną, na bezdrożach zbłąkaną Rzplitą. Ta tradycja poprzez rozbiory dotrwała do dziś, nęcąc Polskę czy to podbojami na Wschodzie, czy tworzeniem nowych ruskich państw, z nią sfederowanych.

Cztery więc są tradycje polityczne w Rzplitej: piastowska, litewska narodowa (Jagiellonów), Z. Czerwieńskiej i ruska. Z nich dwie mają znaczenie dla części ziem Polski: to litewska i czerwieńska. Wiążą się one blisko z piastowską racją stanu i mogą być w części jej dopełnieniem.

Ale są dwie inne tradycje ze sobą nie do pogodzenia, sprzeczne, jak ogień i woda: piastowska i ruska. To nie dzielnice toczą ze sobą walkę: wewnątrz tego samego społeczeństwa są ludzie, to jednej to drugiej idei służący — dzięki wychowaniu, tradycjom, stosunkom. Walka się toczy o Polskę. A niekiedy słychać w niej głosy, obce tradycjom wieków: to podszepty sąsiada, który radzi oddać na Zachodzie, odebrać na Wschodzie. Znamy te głosy którym zawsze ulegali tylko poniemczeni Słowianie,— po to, by łatwiej paść ofiarą naporu germanizmu. Tak padły Czechy i zachodni Lechici.

Walka się toczy o to, kto zapanuje nad duszą społeczeństwa polskiego, kto je poprowadzi ku przyszłości. Chodzi o to, czy społeczeństwo zrozumie piastowskie ideały, czy wydobędzie z siebie hart, do ich realizacji potrzebny—czy też ruskie tradycje będą w Polsce mącić w umysłach, czy będą mirażami wschodu uwodzić wyobraźnię, mamiąc na bezdroża nieznane i groźne. Oto zagadnienia, które w świetle wieków przed nami stają.

SENEX

SZEŚĆ WIERSZY

Przed Stefana Witwickiego młodzieńczym portretem składam.

MARTWA NATURA

Kiedy jesienny, wczesny zmierzch się czyni,
Słucham pociemku, jak gadają rzeczy.
Szeleszczą barwy na krakowskiej skrzyni,
Kantorek trzaska, stary zegar skrzeczy.
W piersiach gitary drżą, jak wieść z nad Lety,
Dziewczęcych westchnień niedomarłe echa,
A stary portret młodego poety,
W mroku, ślicznemi usty się uśmiecha...
Łopot płomyków na kilimka pąsie
Słyszę — i różne, różne dziwy śnią się...

Niemam z kim gadać. Wiem, że nie zadzwoni
Nikt, komu śpieszno do mnie o tej porze.
Wiem, że nie przyjdzie... Więc świat sobie tworzę,
Dawność kochaną, com jest szczątkiem po niej,
Z książek, obrazów, zwierciadeł, mahoni —
A gdy tęsknotą pustkę tę zaludnię,
Rojno znów przy mnie i swojsko i cudnie.

Tyftyka płowe muskając palmety,
Myśl rada gościom naprzeciw wychodzi,
A stary portret młodego poety
Pociemku zawsze uśmiecha się złodziej...
Żadna mnie odeń już nie dzieli rama.
Wszystko się wokół budzić zdaje. Ciemnie
Pełne są życia, co uchodzi zemnie,
Gdy zwolna rzeczą staję się ja sama...

OSTATNI, DZIWNY RAZ...

Patrzę w te oczy nieznajome zgoła,
A przecie uśmiech drogich ust poznaję!
I brwi rozpięte na jasności czoła
I młodość własną co się sercu zdaje
Ostatni dziwny raz z tem malowaniem...

Najsłodsza jakaś, przybłąkana chwila
O pierś moją bije skrzydły jaskółczemi!
I coś się gmatwa, coś się śni, zamyla,
Coś z rosy nieba, coś z płomienia ziemi,
Wzrokiem do płótna przypada rozpacznie...

O, czyżby serce, szalone do tyla,
Odżyło wiarą, że uwierzyć zdoła,
Że się na nowo tamto życie zacznie
I że się z więzów czasu wydostaniem —
Ostatni, dziwny raz ten, przed skonaniem?!

UROKI

Nigdy dość z tobą wzrok się nie nawita,
Ni się z twą duszą nagadam do syta,
Ni pojąć zdołam, żeś był rzeczywiście!

Wytworny w białym na szyi batyście
I w ciemnomodry odzian frak z epoki
Tej, co się w szale stroiła i loki
I wśród olszynki załamując ręce,
Datę swą kładła na poległych liście —
Dziwne nad sercem czynisz mi uroki,
Ław krzemienieckich uczniu smutnooki,
Młodej Szopena rówieśny piosence!

I dziś, gdy doba u proga złowieszcza,
Tamtej minionej głusząc ton wysoki,
Bezcennem czyni dobro postradane,
Wszystek się dla mnie wdzięk jej w tobie streszcza,

Cieniu, coś raczył paść na moją ścianę!

BEZ LĘKU

Kochałam ciebie — i chcę byś o tem wiedział.
Wszak nieraz słowo za wiek milczenia stanie!
Dziś ci je rzucam przez lat i losów przedział,
Przez step tęsknoty, przez mroczne dusz otchłanie,
To słowo późne jak noc i pożegnanie!

Bez lęku patrząc w twych młodych ócz zadziwy,
Rzec ci je mogę, bom ptak jest przed odlotem,
Mój sad obrany, sprzątnięte zboża z niwy —
Żeś mi zachodu i rosą był i złotem,

Kochałam ciebie i chcę, byś wiedział o tem.

OPATRUNEK

Pożółkłe twoje książczyny,
Nikomu dziś już nieznane,
Jak opatrunek na ranę,
Na serce kładę i czule
Do piersi garnę i tulę,
Żałobne i zapomniane...

Raz po raz coś w ich bibule,
Myśl, uśmiech, czy piękność rzadka,
Jak wiotki liść koniczyny,
Lub smagłe oblicze bratka,
Zwiędłe na sercu książczyny
Mignie pomiędzy kartkami...

Ten jeden czasem jedyny
Ślad szczęsnej, krótkiej godziny,
Co prawdą była i — nami —
I ducha wzywa na świadka...

I samiśmy z sobą dziś, sami
Na zawsze i do ostatka!

DZIŚ

Dalekam od mej doby,
O tysiąc mil dalekam,
Z dni dawnych same groby,
Dni nowych nie doczekam...

Ta kładka między nimi
Po której iść się boję,
To — Dziś, co się wrogimi
Oczyma patrzy w moje...

Lwów

MARYLA WOLSKA

LIBERUM VETO

Przypowieść o spokojnem jeziorze.—Co mogłoby nami wstrząsnąć i pobudzić do oporu. — Tragiczno błazeńska farsa. — Ubolewania i oburzenia. — Nasz demokratyzm. — Na benefis monarchizmu. Manifestacja złodziejska.

LEŻAŁO sobie w środkowym pasie kuli ziemskiej wielkie i głębokie jezioro. Ponieważ było bardzo rybne, przeto sąsiedzi w walce i porozumieniu usiłowali niem zawładnąć; wreszcie trzej najmocniejsi podzielili je między sobą. Trwało ich panowanie półtora wieku. Gdy straszny huragan zniszczył ich zamki i twierdze, jezioro odzyskało wolność i własny zarząd. Wypłynęły na nie liczne łodzie z sieciami, na brzegach stanęli z wędkami i podrywkami niezliczeni amatorzy, rozpoczęło się nieprzebrane łowienie ryb w zmąconej wodzie. Wydobywano je masami, gdyż oprócz zwykłych narzędzi i sposobów, używano broni palnej, ogłuszających ładunków wybuchowych i trutek. Połów odbywał się z tem większem powodzeniem, że jezioro odznaczało się szczególnym spokojem. Najgwałtowniejsze wichry nie zdołały wzburzyć jego nieruchomej toni i zaledwie lekko marszczyły jego powierzchnię. Gdy w niem utonął największy przedmiot lub człowiek, ono tylko zatoczyło w tem miejscu krąg falisty, który rozszerzając się, szybko niknął. Możnaby zatopić wielką gromadę ludzi lub wielką górę i ono nie sfalowałoby się, tylkoby nabrzmiało.

Tak brzmi przypowieść.

Co musiałoby się stać, ażeby naród polski zadrgał cały i objawił swoją energję jakimś potężnym czynem zbiorowym? Gdyby np. polecono nam chodzić na czworakach? Sprawilibyśmy sobie obuwie na ręce i tylko w domu przy spuszczonych roletach zachowalibyśmy postawę prostą. Gdyby nam wszystkie pola pozwolono obsiewać jedynie gorczycą? Sielibyśmy tylko w doniczkach zboże, a przeważnie żywili się musztardą. A gdyby nad nami zapanował okrutny Herod i pewnego dnia nakazał wyrżnięcie wszystkich dzieci? Ukrylibyśmy w piwnicach po jednem a resztę zanieślibyśmy w przykładnym ogonku do szlachtuza. Bo jesteśmy bardzo dobrzy, łagodni, ulegli, a przytem nie czujemy się jednym, wspólnością myśli i uczuć żyjącym organizmem. Stanowimy sumę luźnie połączonych jednostek a nie zrośniętą całość. Tak było w przeszłości i tak jest dzisiaj. Wtedy i teraz chodzi nam nadewszystko o zachowanie indywidualizmu. Jeżeli mamy wydobyć wóz, który ugrzązł w błocie, to staramy się, ażeby każdy z nas ciągnął go w inną stronę. Jeżeli uczestniczymy w zgromadzeniu obradującem, to słuchamy uważnie wszystkich zdań i wypowiadamy własne do żadnego z poprzednich niepodobne. Jesteśmy urodzonymi solistami i udział w sharmonizowanym chórze bardzo nas męczy; pragniemy śpiewać osobno nawet nie mając głosu. Ten gust nie pozwala nam ani objawiać woli narodu, ani zdobywać się na czyny narodowe.

Od roku przeszło dzieją się w Polsce rzeczy nieprawdopodobne a jednak prawdziwe, sprawiające niewymowną radość naszym dwustronnym sąsiadom, którzy spodziewają się, że odcięcie od niej kawałów na wschodzie, zachodzie i północy nie będzie tak trudnem, jak się pierwotnie zdawało, a zwłaszcza, że „korytarz" pomorski mogą uważać za skazany na zagładę. Jeśli wszakże dotychczas patrzyliśmy zdumieni lub oburzeni na wypadki gorszące, ale jednak leżące w obrębie zrozumiałej rzeczywistości, to ostatni zaciera zupełnie w naszem życiu granicę między najdziwaczniejszą rzeczywistością a najfantastyczniejszym snem. Najemna prasa, która spożywa pokaźną porcję naszego budżetu państwowego na to tylko, ażeby szerzyć bezczelne kłamstwa na korzyść swych panów i na niekorzyść ich przeciwników, wyrabia materjał do libretta tej farsy, która może kiedyś ukaże się na scenie teatru operetkowego lub w obrazach kinemowych, a jej widzowie, niesięgający pamięcią do naszych czasów, uznają jej treść za wybryk rozkiełznanej wyobraźni. Tymczasem my przypatrujemy się bezprzykładnemu widowisku w rzeczywistości lub czytamy sprawozdania o niem w gazetach. Ten wypadek i inne z jego szeregu przekonywują dowodnie, jak to łatwo sławić demokratyzm i żądać wprowadzenia go do ustroju państwa, a jak trudno wykonywać. Krzyczelibyśmy w niebogłosy, gdyby w konstytucji chciano zamieścić artykuł, dozwalający policji więzić dowolnie obywateli bez sądu, albo inny — upoważniający jednostki lub grupy społeczne utrzymywać drużyny zbrojne, albo inny — nieobowiązujący władz bezpieczeństwa publicznego do ujawnienia wyników śledztwa, albo inny — nadający komukolwiek przywilej samowładztwa, albo inny — znoszący wolność prasy, ale, gdy to wszystko się dzieje, nie krzyczymy zbiorowo i poprzestajemy na czytaniu (zwłaszcza skonfiskowanych) gazet. To czytanie i podzielanie „głębokiego ubolewania", „powszechnego zdziwienia" lub — co najwyżej — „oburzenia" jest jedynym protestem społeczeństwa przeciwko czynom i wypadkom, obrazującym przykazania demokratyzmu. Jeśli już koniecznie chcemy być najradykalniejszą demokracją, to trzeba przy szkołach powszechnych dla dzieci urządzić elementarne o niej wykłady dla dorosłych, którzy w tej nauce są analfabetami, a których u nas są dziesiątki miljonów. Zwyczajnemu polakowi zdaje się, że udział społeczeństwa w rządzeniu państwem ogranicza się do pięcioprzymiotnikowego głosowania na posłów i członków rad gminnych, pozatem ma ono tylko czytać gazety, w kółku znajomych ganić lub chwalić, cieszyć się lub ubolewać. Bo demokratyzm, według naszych jego wyznawców polega na tem, ażeby nawet najciemniejszy prostak, bezwzględny głupiec, nawet zupełny idjota, zniedołężniała baba, ażeby ci ludzie, nie mający żadnego pojęcia o prawie, sejmie, samorządzie wybierali ustawodawców i działaczów państwowych. Natomiast ciągła i czujna kontrola ich czynności, powstrzymywanie nadużyć, wymuszanie kary na winowajców, opór przeciwko samowoli i gwałtom, to nie należy ani do obowiązków, ani do praw demokratycznego obywatela. Bo on, jak cały naród nie jest współtwórcą i współrządcą państwa, ale biernym świadkiem postępowania swych pełnomocników, a właściwie panów i władców, którym on dał plenipotencję lub którzy ją sobie dali i nie potrzebują liczyć się z jego wolą. Może nigdy i nigdzie karykatura demokracji nie wyświadczyła większej usługi jej przeciwnikom, jak ta z imienia najradykalniejsza, z istoty najwsteczniejsza. Nasi monarchiści dla pozyskania zwolenników marnują niepotrzebnie trud uzasadniania swych dążeń wywodami teoretycznemi; wystarczyłoby im dla osiągnięcia celu staranne spisywanie wypadków bieżących z ironicznemi komentarzami. Republikanie i demokraci pracują za nich i dla nich. Ja nie zdziwiłbym się, gdyby pewnego dnia ukazał się manifest, ogłaszający: „My z bożej łaski i woli narodu"... A naród, którego o wolę wcale nie pytano, tylko otworzyłby usta, pomyślał chwilkę i powiedział: „Ha, może nie będzie tak źle"... I pod jednym względem zgodziłbym się na to przypuszczenie: Jego Królewska Mość nie śmiałby ani wydawać *lettres de cachet*, ani załatwiać się z przeciwnikami

„administratiwnym poriadkom“, ani szczerym publicystom zaszywać do połowy usta igłami cenzury. Na to nowocześni monarchowie już sobie nie pozwalają, a niektórzy może nawet się wstydzą.

Zupełnie w duchu radykalno-demokratycznym naszego stylu zdarzył się wypadek, jakim nie ozdobiły się dotąd karty dziejów żadnego narodu. Do sądu okręgowego przybyła deputacja złodziejów zawodowych ze skargą na prokuratora, że ich aresztuje i więzi nieprawnie. W tej manifestacji objawiły się znamiona nadzwyczajnej wymowy i swoistej oryginalności. Przedewszystkiem okazała ona, że złodzieje stanowią u nas związek, chociaż urzędownie nie zaregestrowany ale o tyle tolerowany, że może występować jawnie i żądać opieki prawa, na które daremnie powołują się obywatele niedozwolonych przekonań. Powtóre, uczucie zdziwienia i oburzenia, zbudzone pierwszem wrażeniem tego faktu, po głębszym namyśle ustępuje miejsca zupełnemu jego zrozumieniu. Bo przecie istnieją u nas związki również nieuprawnione i również niekarane, a działające nawet daleko jawniej, chociaż moralnie gorsze od rzezimieszków. Przecie każdy z nas woli, ażeby mu ukradziono trochę pieniędzy, niż odebrano cześć lub życie. Wszyscy „doliniarze“ „pajęczarze“ i inni z tego gatunku są niewiniątkami wobec zorganizowanych zbirów, potwarców, dennuncjatorów, szpiegów, napastników i morderców. Po trzecie, charakterystyczną cechą większości naszych związków zawodowych jest walka ze społeczeństwem prowadzona na rachunek jakiejś wyosobnionej z niego grupy, nieznającej jego praw, interesów i potrzeb. Złodziej jest również rewolucjonistą, walczącym przeciwko nierównemu podziałowi bogactw i znoszącym te różnicę kradzieżami, jest on również bojowcem, ale o tyle kulturalniejszym od innych, że nie dopuszcza się gwałtów na osobach i dopuszcza się morderstw tylko w koniecznej obronie. W państwach, w których panują nie osoby, lecz prawo i wszelkie, przez kogokolwiek popełnione jego zgwałcenie uważane jest i karane jako występek, manifestacja złodziejska byłaby niemożliwa i niepojęta.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

RELIGJA I POLITYKA

ARCYBISKUP Ropp umieścił w monarchistycznem „Słowie“ wileńskiem (N. 202) artykuł pod wyraźnie prowokującym tytułem: „Anty-katolickie tezy p. Dmowskiego“*). Kapłan ten jako główny „zarzut“ starcia insynuuje Dmowskiemu „świadome, należy przypuścić, zamilczenie o nadprzyrodzoności wiary“ i konkluduje: „Strącona jest przeto wiara ze swego górującego stanowiska Bożej prawdy i znajduje się na tym samym poziomie, co i masonerja“.

Głos ten książęcia Kościoła, na szczęście odosobniony, niech będzie dowodem, jakie trudności napotyka polityka narodowa i katolicka ze strony tych nawet, którym, zdawałoby się, najbardziej winna leżeć na sercu troska o wpływy Kościoła w życiu społeczeństw katolickich.

Uwagi swoje ks. Ropp wypowiedział z powodu broszury Dmowskiego „Kościół, naród i państwo“ (wskazań progr. Obozu W. P. t. V). Zapewne nie zdołał przeczytać jeszcze zeszytu wrześniowego „Przeglądu Powszechnego“, w którym ks. Urban, bardzo sceptycznie dotąd usposobiony do nacjonalizmu polskiego, z całem uznaniem o tym traktacie Dmowskiego się odzywa. Ks. Urban stwierdza, że „R. Dmowski wygłasza zasadę o stosunku narodu polskiego do religji katolickiej zupełnie ze stanowiska katolickiego poprawną“, — a podaną w rozprawce „Kościół, naród i państwo“—„genezę nacjonalizmu czyta katolik z prawdziwą satysfakcją i rzetelną wdzięcznością dla R. Dmowskiego“. Jednocześnie w tymże artykule wypowiada ks. Urban nawiasowo pewne poglądy na temat programu polityki polskiej wobec zagadnienia pacyfizmu, kwestji ruskiej i t. d.

Na oba artykuły odpowiedział R. Dmowski obszernie w nr. 418 i 420 „Kurjera Poznańskiego“.

„Główny zarzut—pisze—jaki mi ks. arcybiskup Ropp stawia, to ten, żem przemilczał nadprzyrodzone źródło religji katolickiej, oparrtej na Objawieniu Bożem, przyczem przypuszcza, że przemilczenie to jest świadome. Dodaje też, że o religji katolickiej mówić nie można, przemilczając jej nadprzyrodzone źródło.

Przemilczenie istotnie jest faktem i ks. arcybiskup Ropp nie myli się przypuszczając, że jest świadome. Gdybym się go dopuścił nieświadomie, świadczyłoby to, że o tem, nie pamiętam. Tak zaś źle ze mną nie jest. Czy jednak rzeczywiście o religji katolickiej mówić nie można, przemilczając jej nadprzyrodzone źródło? Czy nawet pisarzd duchowni zawsze je wskazują, gdy o religji katolickiej mówią?...

Jak na świeckiego katolika w Polsce, posiadam dość dobre wykształcenie katolickie. Pozwala mi to w życiu osobistem rozumieć, czem jest moja religja, w życiu zaś publicznem zdawać sobie jako tako sprawę z tego, czem jest i czem winna być religja i Kościół w życiu narodu i państwa. Nie uważam siebie wszakże ani za powołanego ani za przygotowanego do wykładania zasad wiary. Na to nigdybym się nie odważył: chyba w jakichś niezwykłych warunkach, tam gdzieby nie było żadnego księdza katolickiego...

Pozprawka moja jest polityczna, i dlatego punkt widzenia w niej jest ściśle ziemski, doczesny. I celem moim jest wykazać, że i z tego punktu widzenia religja w życiu naredów jest dobrem najwyższem...

Nie mogę też podążyć za myślą ks. arcybiskupa Roppa, gdy zaprzecza memu twierdzeniu, że „upadek narodów katolickich pociągnąłby za sobą upadek roli i wpływów Kościoła katolickiego“, ani gdy przeprowadza różnicę między narodem a społeczeństwem.

Ja rozumiem, że w dzisiejszym okresie dziejów w świecie naszej cywilizacji społeczeństwo posiada postać narodu, że społeczeństwo tam, gdzie jest istotnie organiczną całością, opartą na mocnych podstawach tradycyjnych—jest narodem. Upadek i rozkład narodu prowadzi za sobą rozkład społeczny, a co za tem idzie, moralny i nawet religijny. Gdy upadają narody czyli społeczeństwa katolickie, zmniejsza się sfera ludzka, podlegająca Kościołowi, zatem rola jego i wpływ upada. Nie powiedziałem—upada Kościół: dwa tysiące blisko lat świadczą, że rola i wpływ Kościoła podnosi się i upada w rozmaitych okresach dziejowych, ale Kościół trwa, choć jednocześnie wielkie instytucje, wielkie państwa giną.

Były czasy, że Kościół dyktował traktaty między państwami; tymczasem przed ośmiu laty odbył się światowy kongres pokoju, na którym były reprezentowane rozmaite Guatemale, ale przedstawiciela Kościoła nie było i wpływ Kościoła się nie uwydatniał. Dlaczego? Dlatego, że kongres ten odbył się w dobie względnago upadku narodów katolickich, w dobie górowania w świecie narodów protestanckich i górowania masonerji w polityce krajów katolickich.“

Przechodząc z kolei do artykułu ks. Urbana, pisze Dmowski:

„Ks. Urban rzucił słowo, do ktorego, przyznają się, mam obrazę, mianowicie: pacyfizm. Byłby szaleńcem lub zbrodniarzem człowiek, któryby szukał wojny, starał się ją wywołać, zwłaszcza dziś, kiedy wojna dzięki wynalazkom technicznym i całemu szeregowi innych przyczyn, stała się tak wielką klęską, nietylko dla zwyciężonych, ale nawet i dla zwycięzców. Ale byłby również szaleńcem lub zbrodniarzem ten, któryby starał się zabić w swoim narodzie zdolność do prowadzenia wojny...

*) Jak się okazało tytuł nie był dziełem ks. arcyb. Roppa, ale został dodany do artykułu przez redakcję „Słowa.“

Dzisiejszy pacyfizm zrodził się z jednej strony z płytkiego rezonerstwa masońskiego, z drugiej z purytańskiej chciwości i z purytańskiej obłudy. Nic wspólnego nie ma on z nauką Kościoła.

Hasła jego smakują przedewszystkiem tym licznym żywiołom, któreby się chciały uwolnić od najświętszego obowiązku względem ojczyzny — dawania życia w jej obronie.

Katolik, myślący po katolicku, pragnąc doprowadzić do pokoju między narodami, a przynajmniej między narodami naszej cywilizacji, musi zacząć z innego końca. Nie propaganda przeciw wojnie, ale walka z tem wszystkiem we wzajemnych stosunkach między narodami, co niechybnie do wojny doprowadzić musi: przedewszystkiem walka z tą cyniczną chciwością, która dla własnego zbogacenia się nakazuje ogładzać inne narody, a często dla ułatwienia sobie tego celu politycznie i moralnie je dezorganizować. Katolicka etyka nakazuje podcinać zło w korzeniu, a nie deklamować przeciw jego skutkom.

Zresztą, Kościół nie jest jakąś instytucją nową, z nowemi zasadami. Dwa tysiące lat świadczą, czem jest, jaka jest jego nauka i jakich ludzi wychowuje.

Otóż n.p. armję francuską w początkach naszego stulecia usiłowano oddać w ręce ludzi, którzy odpadli od Kościoła, którzy z nim wojowali. Gdy przyszła ciężka próba wojny, gdy armja ta potrzebowała wodzów, którzyby ją umieli doprowadzić do zwycięstwa, ludzie ci przeważnie próby nie wytrzymali i zeszli w cień, a na czoło armji wysunęli się wodzowie, znani z tego, że są katolikami, i to dobrymi katolikami. Przy sposobności trzeba dodać, że wydaleni z Francji w czasie zniesienia kongregacyj zakonnicy, gdy wybuchła wojna, stawili się do szeregów, walczyli i oddawali życie za ojczyznę, gdy rozmaici sekciarze protestanccy, żyjący w swym kraju i korzystający z opieki swego państwa, deklarowali, że sumienie nie pozwala im wojować".

Zaś w kwestji ruskiej Dmowski stwierdza:

„Jestem tego zdania i często je w dyskusjach politycznych wypowiadam, że mieszkańcy języka ruskiego w naszem państwie, muszą być z równą sprawiedliwością przez rząd tego państwa traktowani, jak ludność mówiąca po polsku. Opieka i pomoc państwa musi być im dawana w równej mierze: nie można traktować jako obcych ludzi, którzy siedzą na ziemi swoich ojców. I wszyscy powinniśmy dokładać wszelkich usiłowań, ażeby pomiędzy tą ludnością a polską panował pokój i poczucie łączności obywatelskiej. Czyż drogą do tego są pakty z agitatorami, którzy tę ludność burzą przeciw nam i przeciw państwu, sprzyjanie hasłom, które przeciwstawiają sobie nawzajem grupy ludności, żyjące na jednej ziemi? Jeżeli taka polityka długo potrwa, to na ziemiach naszych, na których żyją Rusini, będzie niezadługo takie piekło, taka anarchja, że i życie społeczne i gospodarcze, i moralność, i religja— wszystko upadnie. Przedsmak tego już mamy. A przecie my jesteśmy za losy tego kraju odpowiedzialni, ze względu zarówno na naszą tam rolę społeczną, na całą naszą tam przeszłość i na dzisiejszą przynależność tych ziem do Polski".

BRZASKI LEPSZEGO JUTRA

W PIERWSZYCH dniach września odbył się w Kielcach zjazd Młodych z Obozu Wielkiej Polski ziemi Kieleckiej. Zjazd, w którym wzięło udział około 300 młodzieży uchwalił deklarację programową. Przytaczamy ją w całości, w deklaracjach bowiem młodszego pokolenia zapowiada się przyszłość, w którą wchodzi społeczeństwo polskie.

Po ciężkiej chorobie, której ataki wstrząsają teraz naszym organizmem, nastąpią dni lepsze. Oto brzmienie deklaracji:

My, Młodzi z ziemi kieleckiej, widząc w idei Obozu Wielkiej Polski siłę, która porusza głębokie i gorące pragnienia i uczucia nurtujące dusze — rozumiejąc, że tylko myśl Obozu Wielkiej Polski rozewrze przed narodem i państwem polskiem wrota wielkości i potęgi, chcąc dać świadectwo, że zdajemy sobie sprawę, iż dla rozkwitu idei Obozu Wielkiej Polski szeregi jego muszą objąć całą Polskę i sięgnąć we wszelkie jej zakątki — oddajemy swe siły tej wielkiej idei.

Świadomi, że jak przed pokoleniem ojców naszych stało wielkie zadanie wskrzeszenia państwa polskiego, tak my, młodzi, obarczeni jesteśmy odpowiedzialnością za trwałość, wielkość i potęgę budowy naszej ojczyzny, oświadczamy:

Nie spoczniemy, póki w duszy narodu naszego nie zniszczymy jadu bierności, ustępliwości i gnuśnej bezwoli w sprawach losów ojczyzny;

zwalczać będziemy bierność jako zdradę narodu.

Wiemy, że bezwolę i gnuśność w służbie narodu sączą w dusze polskie zgubne pojęcia, oparte na zgniliźnie doktryn liberalnych i socjalistycznych, przedostające się przez kanały międzynarodowych organizacyj z zakonspirowaną masonerją na czele. Siły te, jako wrogie narodowi, są naszymi wrogami.

Widząc nieustalone i chwiejne losy naszego narodu i państwa, pragniemy oprzeć je na nowoczesnych podstawach, ostro i bezwzględnie zrywając ze wszystkiem, co zmurszałe w dotychczasowych formach życia narodów.

Jednem że źródeł poniżenia narodu i państwa jest samowola jednostek i klas społecznych, którą będziemy zwalczać wprowadzając w życie zasadę, że prawa narodu i obowiązki wobec niego są pierwsze przed prawami klas i jednostek. Rozumiemy, że jedną z podwalin potęgi państwa i wielkości narodu jest dobrobyt obywateli.

Potęgi państwa i dobrobytu obywateli nie osiągnie się, gdy wytwórczość jego materjalna dzielona będzie walką klas; walkę tę uważamy za zjawisko obce postępowemu rozumieniu życia społecznego i gospodarczego; uważamy ją za stan chorobliwy; moc narodu wyrosnąć może jedynie przy solidarnej współpracy klas.

Wysoko pragniemy podnieść godność pracy, przez którą okazuje się miłość ojczyźnie. Walką twórczą w życiu narodu jest nie walka klas, lecz współzawodnictwo w służeniu interesom narodu, którego organizacja oprzeć się winna na zasadach hierarchji. Widząc chaos i niepewność losów kultury narodowej, pragniemy nasze młode siły oddać celom Obozu Wielkiej Polski w walce jego o ugruntowanie moralności, opartej na niezniszczalnej, wielkiej i wiecznej sile zasad Kościoła katolickiego.

W walce o skupienie w rękach narodu polskiego pełni praw w państwie polskiem, we wszystkich dziedzinach jego życia, w walce tej pragniemy stać w pierwszym szeregu.

Wierząc w moc twórczą naszych przekonań, zdajemy sobie sprawę z przełomowego ich znaczenia w kształtowaniu życia polskiego i polskich charakterów. Wieść nas będzie duch przeszłych pokoleń i poczucie odpowiedzialności wobec pokoleń przyszłych, którym przekazać winniśmy wielką spuściznę.

Celem naszym — potęga i wielkość ojczyzny, siłą — niewzruszona wiara w osiągnięcie celu naszego, obowiązkiem — poświęcenie wszystkiego w walce o cel ten. Niech żyje Obóz Wielkiej Polski! Niech żyje twórca jego — Roman Dmowski!

Z WYCIECZEK LETNICH

„ZAPRAWDĘ — pisał Józef Kremer — już nie mamy czego bogacić krwawym naszym groszem obce wody — Szczawnica nietylko zalecza ciało, ale jej natura ojczysta jest istnym balsamem na moralne cierpienia"... Było to w roku 1865. A dziś? Dziś już „Miedziuś" nie „wabi mnóstwem prześlicznych kwiatów", Polak ze wstrętem przeciska się tam przez szwargoczące tłumy chałatowych „gości". Szczawnica jest zażydzona skan-

dalicznie; jeżeli kto ciekawy, jak wyglądałaby cała Polska za lat kilkadziesiąt (a może i wcześniej), gdybyśmy się wreszcie nie opamiętali i w dalszym ciągu prowadzili wobec „krajowych cudzoziemców“ obecną samobójczą politykę — niech jedzie do Szczawnicy i tam w obliczu cudownej przyrody, niech — patrzy. Niech przejedzie potem całą Europę Zachodnią, aby się przekonać, że czegoś podobnego nigdzie zobaczyć nie można: takich typów, takich strojów, takich obyczajów niema nigdzie; coś podobnego jest poprostu nie do pomyślenia w cywilizowanej Europie. Gdy się obserwuje, jak ten tłum egzotyczny, którego widok wystraszyłby stąd każdego cudzoziemca z Zachodu, rozłazi się i wciska wszędzie, snuje się ze swemi szklankami, rurkami i ze swem drogocennem zdrowiem, rozkłada się na ławkach w parku, zaśmieca brzegi Dunajca i ścieżki leśne — ogarnia wprost rozpacz i ciśnie się skarga na usta: Boże, Boże, czemuś nas tak ukarał — już nie tą żydowską nawałą, ale tem specyficznem polskiem niedołęstwem, tą głupotą specyficznie polską, która teraz, gdy mamy swoje Państwo, gdy nareszcie powinniśmy być u siebie, każe nam się cackać z pejsatymi „obywatelami“, obrzydzającymi nam pobyt w najbardziej uroczym zakątku kraju i beznadziejnie nas kompromitującymi wobec obcych. „Jesteśmy u siebie i między sobą, a na własnych śmieciach“, pisał ze Szczawnicy Kremer w roku 1865. U siebie i między sobą już w Szczawnicy, niestety, nie jesteśmy; tylko śmieci... przybyło. „Królowa wód polskich“ nosi do dziś tę samą szatę, w którą w połowie XIX wieku ustroił ją dzielny człowiek, zacny i rozumny obywatel, Józef Szalay. „Ogółem wygląda Szczawnica tak samo, jak zostawił ją Szalay“ — piszą autorzy najnowszego „Przewodnika“ (1927). „Zdroje, urządzenia, domy i wille przestarzałe, ogrody zaniedbane“. A przecież, jak wykazały analizy lekarskie, szczawy pienińskie nie ustępują pokrewnym wodom zagranicznym; ba! nieraz znacznie je przewyższają w swych błogosławionych skutkach. My jednak marnujemy skarby, które nam dał Bóg i zamiast Karlsbadu, robimy ze Szczawnicy Berdyczów.

B. G.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Odroczenie Sejmu i Senatu. — Opozycja. — Manifestacja lwowska. — Uchwalenie wniosku polskiego w Lidze.

ARTYKUŁ 25 Konstytucji postanawia, że Prezydent Rzeczypospolitej winien zwołać Sejm na sesję nadzwyczajną „na żądanie ⅓ ogółu posłów w ciągu dwóch tygodni“. Żądanie takie przesłane zostało Prezydentowi Rzplitej przez Marszałka Sejmu dn. 27 sierpnia, wydawało się więc rzeczą niewątpliwą, że najpóźniej dn. 10 września ciała ustawodawcze rozpoczną na nowo swe obrady. Tymczasem Prezydent Rzplitej zarządzeniami z dn. 6 i 9 b. m. zwołał Sejm na sesję „od dnia 13 września“, zaś Senat „od dnia 22 września 1927 r.“. Po odbyciu jednego zaledwie posiedzenia, Sejm dekretem z dn. 20 b. m. odroczony został na dni 30, tegoż samego dnia (a zatem na dwa dni przed zapowiedzianem otwarciem sesji) Prezydent Rzplitej odroczył sesję nadzwyczajną Senatu. „Przez akt ten“ — stwierdził nazajutrz Marszałek Senatu Trąmpczyński w urzędowem piśmie do Prezydenta — bezwzględne prawo Senatu do ponownego rozpoczęcia swoich prac zostało zupełnie bezprawnie przekreślone“. Poczucie trwałości i pewności obowiązujących norm prawnych jeszcze raz zostało w świadomości społeczeństwa w groźny sposób zachwiane. W imię czego?

Rozpoczynająca się sesja izb prawodawczych nie zapowiadała się dla rządu w sposób przyjemny. Interpelacja szeregu stronnictw, domagająca się ustalenia odpowiedzialności i ukarania winnych w sprawie tajemniczego zniknięcia gen. Zagórskiego; jednomyślne niemal zniesienie wydanych przez Prezydenta Rzplitej dekretów prasowych, wniosek o uchylenie udzielonych rządowi ustawą z dn. 2 sierpnia r. ub. pełnomocnictw, wniosek w sprawie stale trwającej bezkarności powtarzających się aktów terroru, interpelacja w sprawie przekroczenia wydatków budżetowych o 50 miljonów złotych — oto kilka zaledwie przykładów, świadczących o nastrojach Sejmu, przedewszystkiem zaś o nastrojach kraju, które Sejm cichym, nieraz lękliwym głosem starał się wyrazić. Czy jednakże mechaniczne środki „zamykania ust“ przez odraczanie sesji sejmowej, nieogłaszanie w „Dzienniku Ustaw“ o zniesieniu przez Sejm dekretów prasowych i t. p. mogą zastąpić na czas dłuższy — brak oparcia i zaufania w społeczeństwie?

Minister oświaty dr. Dobrucki wydał okólnik, wprowadzający do szkół polskich na terenie Wschodniej Małopolski obowiązkową naukę języka ruskiego. Wywołało to stanowczy, energiczny protest polskiego Lwowa. Pomimo konfiskaty „Słowa Polskiego“, donoszącego o zebraniu obywatelskiem w tej sprawie, pomimo skonfiskowania odezw komitetu, zawiadamiających o zwołaniu wiecu protestacyjnego, na wiec stawiły się tysiące, wypełniając wielką salę Sokoła-Macierzy, gromadząc się na pobliskich ulicach, a następnie olbrzymim pochodem udając się przed gmach województwa. Dostępu do gmachu broniły dwa kordony policji, władze miejscowe posunęły się nawet tak daleko że nakazały przypuścić do manifestantów szarżę policji konnej. Ale wówczas stała się rzecz niezwykła: manifestanci nie ulękli się szarży, nie rozpierzchli się, przeciwnie, delegacja z przewodniczącym wiecu, pos. Mączyńskim na czele dostała się do województwa, gdzie przyjął ją wicewojewoda Eckhardt. Zakończenie manifestacji w ten sposób opisane jest w lwowskim socjalistycznym „Dzienniku Ludowym“: „Na żądanie p. posła Mączyńskiego policja została ze stanowisk przed województwem usunięta, poczem pod oknami odbyła się manifestacja antyrządowa ze śpiewami i mową naucz. Blaikego“.

Znaczenie manifestacji lwowskiej powinno być właściwie zrozumiane, i to zarówno przez czynniki oficjalne, jak przez opinję kraju. W tym odruchu instynktu narodowego i zadraśniętej dumy narodowej nie było w rzeczywistości ani krzty nienawiści do języka ruskiego ani do Rusinów. Gdyby rząd przez łączenie szkół ruskich z polskiemi, wychowywanie dzieci polskich i ruskich w jednej szkole, dążył istotnie do ściślejszego zespolenia obu odłamów zamieszkującej Wschodnią Małopolskę ludności, polityka jego spotkałaby się z poparciem i współpracą całego polskiego społeczeństwa. Ale pomysł wprowadzania języka ruskiego do szkół polskich przy jednoczesnem pozostawianiu po dawnemu szkół ruskich, zamieniania (jak to miało miejsce na Wołyniu) szkół polskich na ruskie — to w skutkach swych poprostu walka z polskością na kresach, niszczenie naszego stanu posiadania. Tylko trzeba wówczas wiedzieć zgóry, że społeczeństwo polskie całe, nietylko na kresach, stanie zawsze do walki w jego obronie.

Wniosek polski, ogłaszający, że „wojna napastnicza jest i pozostaje wzbroniona“ uchwalony został jednomyślnie, na propozycję delegata Niemiec hr. Bernstorffa, przez komisję trzecią Ligi Narodów. Nawet

dzienniki „sanacyjne“, które zgłoszenie wniosku witały, jako przełom w dziejach ludzkości („Wojna—zbrodnia międzynarodowa będzie wykreślona z kart historji świata“ — wołał dn. 8 z. m. czteroszpaltowym tytułem warszawski „Kurjer Czerwony“) po uchwaleniu wniosku nie uderzyły jakoś wcale w ton triumfu. Nikt nie ośmielił się twierdzić, że obecnie bezpieczeństwo Polski zwiększyło się choćby o tyle, aby mogła zmniejszyć o jeden przynajmniej pluton dotychczasową liczbę swych żołnierzy. P. Sokal, uzasadniając wniosek polski na Zgromadzeniu Ligi, zaznaczył, iż ma on znaczenie „pedagogiczne“. Następnie zaś, polemizując w obronie wniosku na komisji, dodał: „Istnieje cenne przykazanie Boskie: „Nie zabijaj“. Jest ono jedną z najcenniejszych zasad moralnych, choć jednocześnie nie zawiera wcale definicji, co to jest morederstwo“. Zapewne, jeżeli ktoś wogóle jest zdania, że autorytet moralny przykazań Boskich powiększy się, skoro zostanie poparty autorytetem uchwały komisji trzeciej Ligi Narodów...

W rzeczywistości, wytwarzanie w świecie nastrojów, że powstają jakieś, nieistniejące naprawdę, gwarancje pokoju, może być dogodne dla tych tylko, co korzystając z nich przygotowują niespodziewaną napaść na sąsiada. Skoro, wrazie przyszłej wojny z Niemcami, Polska napewno będzie stroną nie napadającą, lecz napadniętą, zrozumiała jest skwapliwość w poparciu wniosku polskiego przez hr. Bernstorffa. Zaraz tegoż samego dnia hr. Bernstorff w imieniu „rozbrojonych“ Niemiec domagał się powszechnego, natychmiastowego rozbrojenia, zaznaczając, że bezpieczeństwo jest już do pewnego stopnia zagwarantowane... Ale jaki był cel stawiania tak sformułowanego wniosku właśnie przez delegata Polski?...

J. R.

NAUKA I LITERATURA

„KROPKI NAD I“

P. STANISŁAW MACKIEWICZ, naczelny publicysta i redaktor wileńskiego „Słowa“, organu tamtejszych konserwatystów, wydał ostatnio zbiór swoich artykułów ze „Słowa“ w osobnej książeczce, zatytytułowanej: „Kropki nad i“. Nastręczył tem pożądaną sposobność do sformułowania gruntowniejszego sądu tym wszystkim, co p. Cata (tak zazwyczaj podpisuje swe artykuły p. Mackiewicz) znali tylko z dorywczej lektury. Istotnie „Kropki nad i“ dają nam nieźle poznać indywidualność myślową i pisarską autora w dzisiejszem stadjum krystalizacji. Zacznijmy od wrażenia ogólnego: ta publicystyka, to nietyle publicystyka, ile swobodniejszą posługujące się metodą gawędziarstwo polityczne, rodzaj literacki, od którego pewna rzutkość myśli jest nieodłączna. Poniżej streścimy króciutko główne tezy autora, lecz przedtem zauważyć wypada, że i styl „Kropek“ przyczynia się do wzmocnienia efektu metody gawędziarskiej. Dopuśćmy do głosu cytaty. Oto: „Nie nazywam patrjotyzmem tego, co mówią endecy. Jest to walka gatunków Darwina, przeniesiona na grunt społeczny...“ (s. 68). Albo: „Protokuły mędrców Sjonu nie zachwycają mnie swoją autentycznością. Lecz protokuły mędrców Sjonu jako symbol... są niewątpliwie słuszne“ (s. 54). Albo: „Prądzyński plączący się w sieci genjalnych koncepcyj, personalnych intryg i bicia własnego serca“ (s. 106). I nie brak talentu winien takim i tym podobnym usterkom, bo p. Mackiewicz ma niewątpliwie dar żywego wysłowienia: lecz tak grzeszy tu technika pisarska niesolidnością, jak ruchliwa, owszem, energiczna myśl tego publicysty — płytkością. Może to znowu raczej nałóg płytkości, niż niezdolność pogłębienia, nałóg spowodowany wczesnem wdrożeniem się do dziennikarstwa. Lecz narazie tyle dbał autor „Kropek nad i“ o logikę wywodów, co o majestatyczność tytułu. I szkoda, iż w pracy tej, poświęconej cieniom „regalisty i statysty“, Jerzego Ossolińskiego, nie debiutowały takie cnoty statysty, jak krytycyzm względem samego siebie i poczucie pełnej odpowiedzialności za słowo pisane, poczucie, które każe niekiedy nawet słusznych rzeczy nie napisać, a któremu rzucił wyzwanie p. Mackiewicz już w samym tytule swej broszury.

Pierwszy jej rozdział, to krytyka systemu polskiej polityki zagranicznej. Aforystyczna konkluzja: „Dzbanek miodu franko-polskiej przyjaźni należy zaprawić odrobiną goryczy. W ten sposób my tu w Wilnie przyrządzamy słynny krupnik litewski“ (s. 22). Receptę tą dyktuje autorowi „filogermanizm“ Francji, która, nie czując się dostatecznie zabezpieczona sojuszem z Polską, próbuje porozumieć się z Niemcami. Czemu Francja wierzyła w wartość sojusznika polskiego, gdy ten nie miał jeszcze własnego państwa, a reprezentowany był przez Komitet Narodowy paryski z Dmowskim na czele i czemu ta wiara osłabła, gdy na czele zorganizowanego państwa po ośmiu latach niepodległości stanął „pierwszy rząd silny“ — nad tem autor nie zastanawia się wcale. Stawia zato inne pytanie zasadnicze: „czy Niemcy istotnie są tak nieprzejednane?“ — i stwierdza, że trudno odpowiedzieć „poważnie i objektywnie“. „Dla sprawdzenia właściwych nastrojów w Niemczech należałoby choć jedną dziesiątą część tych wysiłków, które skierowane są na dobre uspasabianie opinji we Francji, zwrócić na wyjaśnienie niemiecko-polskich spraw spornych w samych Niemczech“ (s. 29). Zatem odłożyć orjentację naszej polityki zagranicznej do czasu wyjaśnienia wątpliwości? Ależ nie! Już teraz „Franko-polsko-niemieckie porozumienie musi być celem polityki polskiej“ (s. 97). „Porzućmy... metafizykę polityczną. Stańmy na gruncie interesów realnych“. Scementują porozumienie Polski, Francji i Niemiec takie interesy wspólne, jak „zniesienie okupacji nadreńskiej, *Anschluss* a potem odzyskanie kolonij, wreszcie dalsze udogodnienia w sprawie spłaty reparacyj“ (s. 96). Załatwiając Niemcom te ich najważniejsze, zdaniem autora, interesy, spychamy na dalszy, zgoła daleki, plan sprawę „korytarza“, — to też „aktywność“ polityki polskiej polegać powinna właściwie na tem, aby w załatwianiu tych spraw dla Niemiec nie dać się nikomu — a zwłaszcza Francji — wyprzedzić. Interes dla Polski tem lepszy, że „żadne z tych wielkich zadań polityki niemieckiej nie jest zwrócone bezpośrednio przeciw Polsce“ (s. 96). Autor widzi zatem, że każde w nią godzi pośrednio — lecz konsekwencje wypływające stąd całkowicie pomija, w czem już sprawa jego logiki. Po zniesieniu okupacji nadreńskiej, przyłączeniu Austrji do Niemiec i t. d. zostaje tylko do zrealizowania... porozumienie franko-polsko-niemieckie. Czy to już wieczny pokój nastanie w Europie? Bynajmniej. Wzmocnieni *Auschlussem* rozwiniemy wreszcie (w tem jądro całej kombinacji) imperjalistyczną politykę wobec Rosji. „Nie należy tu mieć za małych ambicyj!“ (wykrzyknik autora s. 97).

Tak, bo p. Mackiewicz jest wyznawcą imperjalizmu, dla nacjonalizmu chowa tylko pogardę. Cóż to oznacza ta kursywa, wyróżniająca się pośród zwyczajnego druku?... „*Jestem autorem teorji, przeciwstawiającej nacjonalizm imperjalizmowi*“ (s. 65). Podkreślając tę przeciwstawność, nie zauważoną, jak widać, przez Dmowskich, Barrèsów, Chestertonów, Corradinich, podaje p. M., że imperjalizm oznacza dlań dążenie do zapewnienia państwu jaknajrozleglejszego terytorjum, gdy

tymczasem nacjonalizm — jakoby zasadę „etnicznej“ (a więc małej) Polski. Autor, jak widać, należy do szkoły tych pisarzy*), co nacjonalizm konstruują z pominięciem idei narodu. Tam rzszerzanie się terytorjum państwowego, ówdzie grupa „etnicznych“ Polaków, lecz pojęcie cywilizacji narodowej, jej istoty, zasięgu i panowania — jakby nie istniało. To też historyzm p. Mackiewicza wskrzesza tylko pierwiastki wschodnie w polskiej tradycji. Dla imperjalizmu shołdowała tego publicystę ta wizja, że: „Gdy wywołujemy zjawę naszych zwycięstw, to po stronie polskiej widzimy pułki nietylko polskie, lecz litewskie, kozackie, tatatarskie. Gdy myślimy o ludach Rzeczypospolitej, — to widzimy barwną mozajkę“ (s. 69). To też nie stoi ten tradycjonalista o rzymskie dziedzictwo naszej cywilizacji, i nie zgadłbyś, choćbyś najstaranniej wertował „Kropki nad i“, że istnieje jakiś antagonizm kulturalny między Wschodem i Zachodem, grający rolę także w dziejach Polski, — i to aż po dziś dzień.

Cóż innego, jak logika tych sympatyj dla „Wschodu w Polsce“ każe p. Mackiewiczowi deklarować, już nietylko we własnem imieniu: „... daty 18 listopada 1925 r. i 12 maja 1926 roku uważamy za wypadki najszczęśliwsze w naszej historji z lat ostatnich“ (s. 134). Logika argumentów byłaby tu tylko intruzem.

Wyrozumowana pozormie, impresjonistyczna w gruncie rzeczy jest też zasadnicza teza p. Mackiewicza o monarchji, która jakoby gwarantowała zawszę władzę silną i stałą. Cóż za uniwersalizm! Podług tej formuły *régime* monarchistyczny wydałby jednakowe skutki w państwach bałkańskich, w Polsce, w Portugalji i w Japonji. Ale nawet weźmy tylko klasyczny wzór: Francję. Chcemy władzy tak silnej i stałej, jak za Ludwika XI i Ludwika XIV, czy jak za Karola VII i Ludwika XVI? Rozstrój, zamieszki, dobra organizacja i porządek, słabość i siła jednakowo pokryte są formułą monarchji absolutnej.

Trudno spodziewać się zbawienia od formuły poprawnej na papierze, lecz którą dzieje dementują. Lecz, o dziwo, p. Mackiewicz nie dba nawet o poprawność na papierze! nie jest wcale zwolennikiem monarchji absolutnej, jak konsekwentni monarchiści francuscy. Proponuje parlament suwerenny w zakresie ustawodawstwa i króla suwerennego w zakresie władzy wykonawczej; a więc system amerykański z królem dziedzicznym zamiast obieralnego prezydenta. Przy tym systemie w razie konfliktu między królem a parlamentem powstawałaby sytuacja bez wyjścia; ciągnęłyby się te konflikty w nieskończoność, a raczej aż do nowych przewrotów i do nowych reform ustrojowych... Takby miało się zrealizować hasło „władzy silnej i stałej“...

W. J. C.

Z OBCEJ NIWY

LITERATURA, jak krajobraz, jak ludzie, jak ich urządzenia jest odmienna u różnych narodów. Czytając powieści tłumaczone, doznajemy takich wrażeń, jak byśmy podróżowali po kraju ich autorów. Wszystko tu jest inne — natura, osoby, stosunki, nawet myśli, uczucia i ich wyrazy. Bo piszą je nie tylko rozmaici ludzie, ale i rozmaite społeczeństwa, narody, rasy. Gdy zestawimy polskich twórców literatury, zdaje nam się, że oni składają długi szereg luźnie stojących, całkiem niepodobnych do siebie postaci, że z pod ich różnic słabo wydobywają się nieliczne rysy wspólne. Te powinowactwa dostrzeżemy dopiero wtedy, kiedy przyjrzymy się takiemuż szeregowi w literaturze obcej. Powieści polskie są prawie zawsze życiorysami charakterów i opisami zdarzeń niezwykłych; powieści narodów zdemokratyzowanych, ludowych są prawie zawsze obrazami ludzi i zdarzeń zwykłych, tylko oprawionych w ramy artystyczne. Naszemu autorowi nie przyszłoby nawet na myśl opowiadać dzieje piekarza, który z dziecinną niepamięcią o sobie i swojej rodzinie obdarowywał chlebem i pieniędzmi wszystkich wyzyskujących jego dobrotliwość, który, straciwszy swoją piekarnię za długi, chwycił się dzierżawy młyna, ale i tu pogrążył się w biedę, w której zmęczony życiem umarł. Takim był „Jan Marhoul“ W. Vanczury, przełożony z czeskiego i wydany w „Bibliotece słowiańskiej“ *). Wobec nikłej treści wartość utworu zamyka sie głównie w formie. Jest ona twarda, niebanalna, ale często w swej obrazowości karykaturalna i rubaszna. „Gorzałka jest nocą, a twarz szynkarza sierpem księżyca, który płynie i użala się nad pijakami... Rozbijałeś się, Marhoulu, zbyt długo w brzuchu tego młyna i zbyt długo zżerałeś jego zapasy, a teraz wyrzyga się wreszcie i pójdziesz precz... Prawe jego kolano z podartych od ustawicznego klękania spodni wyzierało jak amator (chyba aktor) przez kurtynę... Ta cała czwórka podśpiewywała różne piosenki i ciągnęła po szynkach jak rzeźnik bydło na rzeź... Z książki wystawało pióro z dwiema rozchylonemi nóżeczkami i przypominało wieczność, która powoli odbywa pielgrzymkę do Rzymu(?)... Kolegjum braci szkolnych i wspaniały dom handlarza koni sterczą na samym stoku ulicy chorób, jak podniesiony palec boży albo prawa ręka policjanta.. Na plecach ich sterczały strzelby, jak ogony niezaspokojonych suk...“ Takich dziwacznych i brutalnych porównań i przenośni jest mnóstwo, budzą one czasem niesmak, ale nadają językowi Vanczury pewną rubaszną oryginalność.

Wolimy ją jednak, niż nużącą manierę drugiego a w hierarhji sławy wyższego powieściopisarza czeskiego K. Czapeka, którego „Bożą mękę“ wydała w przekładzie również „Bibljoteka słowiańska“. Na wszystkich nowelach w tym tomie czytelnik kładzie przy końcu znak zapytania, nie wiedząc i nie odgadując, co one znaczą. Dwóch przypadkowo spotykających się ludzi bada zagadkowy ślad na śniegu, jak gdyby ktoś szedł jedną nogą. W drugim obrazku „człowiek przy biurku tai oddech, a jego serce rozciąga się jak równina.(!) Cisza jest napięta jak płótno i wszystkie rzeczy są kęsami tej ciszy, wyprasowanemi w gładką równinę bezruchu“. Tytuł: „Zastój czasu“. W trzeciej („Historja bez słów“) ktoś spotyka na skraju lasu śpiącego człowieka, który, przebudziwszy się, prosi o papierosa, wypala go i zasypia. W czwartej („Zagubiona droga“) jacyś dwaj mężczyźni zbłądzili w nocy i szukają drogi. W piątej („Napis“) chory zastanawia się z odwiedzającym go przyjacielem, skąd pochodzi i co znaczy wypisany na ścianie jego pokoju wyraz „napowrót“ i przypomina sobie, że sam go wypisał, ale nie objaśnia w jakim celu. I tak dalej. Wszystkie te zagadki i błahostki, owinięte są we frazeologję, która ma pozory filozofji życia a jest mglistem i bezładnem majaczeniem. Niejaki wyjątek stanowi powiastka „Lida“, w której przynajmniej wiadomo, ze młoda dziewczyna uciekła z domu i spędziła kilka dni z natrętnym uwodzicielem, ale również nie wiadomo, dlaczego bez przyczyny i powodu skazała się na tę „bożą mękę“. Jedyną wartością tego zbiorku jest pretensjonalność, zasłaniająca mgłami coś, co ma być godne uwagi czytelnika, a czego on wcale nie może się domyśleć.

Trzecim tomikiem „Bibljoteki“ jest zbiór wierszy J. Wolkera p. t. „Gość w domu“. Są to niedojrzałe owoce niedojrzałego talentu, który może zdobyłby się

*) Patrz np. o pomysłach ideologicznych wojewody Dunina-Borkowskiego („Myśl Narodowa“, Nr. 18 z r. b., art. „Tandetna ideologja“).

*) „Bibljoteka Słowiańska“ w przekładzie dr. Stanisława Alberti, nakładem księgarni F. Hoesicka.

na głębsze rozczulenia, gdyby nie umarł przedwcześnie. W tych, które zdążył ogłosić, widać tylko wrażliwe, ciche, roztkliwione serce.

Chociaż te kwiaty literatury czeskiej, przeniesione do naszej, nie olśniewają pięknością barw i kształtów, mają woń odmiennego pochodzenia, której nie posiadają wyrosłe na niwie naszej.

A. Ś.

Z NIWY POETYCKIEJ.

Poetą dużego gestu i bojowej postawy jest Mieczysław Ziębowski, którego nowy tomik poezji p. t. „Lwy" wyszedł teraz w Warszawie. Między rokiem 1901 a 1925 autor wydał — jak widać ze spisu 12 tomów. Należałoby bliżej się przyjrzeć wszystkim, dlaczego nie dały mu wybitnego w hierarchji poetów stanowiska. Włada formą dobrze, omija pospolitość, sięga po najwyższe zagadnienia ducha. Ale—jak się zdaje—szkodzi mu to, że rozdaje na gest to, czego głęboko nie przeżył, że rozżarza blask słowa kosztem ciepła, że więcej waży postawę, niż stany duszy. Dlatego w ogólnikowych linjach frazesu nie zawsze jasno wyczuwa się jego osobisty moment serca, który stawałby się przeżyciem czytelnika. Gdyby praca wewnętrzna wypełniła tę postawę krwią prawdy, autor doszedłby jako artysta do większych rezultatów.

Oto przykład tej nieproporcjonalności gestu i treści. P. Ziębowski stanowisko swoje jako poety bardzo wysoko podnosi w społeczeństwie. Któż to jest poeta?

Przechodniu, czapkę zbożnie zdejm,
Gdy mijasz wrota jego domu.
To on co wejdzie nakształt gromu
Kiedyś na Wiecznych Duchów Sejm.
To on, co nad przepaścią most
Zbudował w jasnej Mocy wierze
I po wieczystą Treść w bezmierze
Idzie przez krwawe syki chłost.
To on, co czyni cud, to on,
Co w wątłe piersi ludu wkłada
Moce, od których lęk przepada,
Pieśni, co huczą gdyby dzwon!

Otóż poeta, chcący w kraju oświeconym „czynić cuda", powinien dbać nie tylko o to, żeby pieśń „huczała" i żeby ludzie zdejmowali przed nim czapki (ze strachu zabobonnego?), lecz przedewszystkiem o to, żeby samemu być oświeconym nie niżej obowiązującego poziomu. Bo któż uwierzy, że zdobył „Wieczystą Treść" i zabłyśnie nią na „Wiecznych Duchów Sejmie", jeżeli tu na ziemi na zwykłym sejmie polskim nie umiałby elementarnej prawdy wymiarkować? Kto wieczystej treści w życiu nie spostrzeże, ten „nad przepaścią" nie zbuduje mostu. Sam gest nie zrobi go poetą. Cóż on włoży „w wątłe piersi ludu", jak do nich trafi? Któż zdejmie czapkę przed wieszczem, który o maju 1926 r. potrafi napisać hymn w tym bezsensie:

Niech cała Polska w dolinach i górach
Śpiewa dzień, szczęsna w każdym serca drgnieniu,
Że się zerwała nad Łanem Wichura.

Co tu pomoże postawa poetycka, nawet duże litery i że to „huczy" jakąś pieśnią, kiedy w niej niema nie tylko wieczystej, ale nawet tej zwyczajnej treści, jaką daje elementarna wiedza i obowiązująca moralność.

Dla tego to właśnie p. Ziębowski nie doszedł mimo swych talentów do stanowiska w literaturze. Pieśń jest poezją nie wtedy, gdy „huczy", ale kiedy wydaje z siebie Słowo, a słowo — to przedewszystkiem treść. Treść słowa, która ma mieć życie własne, jest to krew ducha. To nie szum, nie blask, nie poza — to prawda, do której się dochodzi pracą umysłu i serca.

Próżnoby krytyk łamał głowę, skąd pochodzi u p. Ziębowskiego ów brak treści, który czyni jego poezje, jak n. p. „Na lot", niezrozumiałemi psychologicznie. Są to pozornie rzeczy podniosłe z tonu i chrześcjańskie, sądząc z użytych wyrazów, a jednak musi zastanowić n. p. takie efektowne zakończenie wiersza:

W dłoń chwytam Krzyż Twój Chryste,
I walę nim jak młotem!

Jest bowiem w tej koncepcji coś, co zdradza, że autor niema poczucia symbolu Krzyża, jeno widzi w nim materjalny przedmiot, rzecz dla siebie zewnętrzną. Krytyka musi spełnić, nawet w krótkiej notatce, swój obowiązek i uciec się do metody biograficznej. Dopytuję się tedy, kto jest p. Ziębowski i dowiaduję się, że jest żydem. Właściwe nazwisko pono Finkelstein. Trzeba takie mistyfikacje wyjaśniać, inaczej historyk literatury nie połapie się w charakterze polskiej twórczości.

Z. W.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W uniwersytecie warszawskim nastąpił nowy podział na fakultety. Mianowicie za przykładem Poznania wydział filozoficzny rozpadł się na dwa wydziały: humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy. Pozatem studjum weterynaryjne przy wydziale lekarskim wyodrębniono w osobny fakultet tak, jak się to stało praed paru laty z wydziałem farmaceutycznym.

Wydział humanistyczny posiadł 14 katedr zwyczajnych i 10 nadzwyczajnych. Znalazły się tu wszystkie nauki filologiczno-historyczne, filozoija, psychologja, historja i pedagogja. Dziekanem tego wydziału jest znany działacz międzynarodowy prof. Handelsman. Na opróżnioną (po ś. p. Smoleńskim) katedrę historji wydział nikogo dotąd nie przedstawił. Najwięcej praw miałby do niej Wacław Tokarz, ale w obecnym składzie wydziału tylko u paru profesorów niezależnych znalazłby poparcie. Prof. Handelsman podobno decydowałby się raczej na Sz. Askenazego.

*

Zawiązało się w Warszawie „Towarzystwo Studjów Literacko-Filozoficznych im. Adama Mickiewicza", którego celem, według § 2 Statutu jest „zaznajomienie szerokiego ogółu z dziełami poetów i myślicieli polskich przez: a) organizowanie stałych zebrań członkowskich poświęconych czytaniu tych dzieł i dyskusji nad niemi; b) popularyzowanie dzieł zawierających polską myśl filozoficzną; c) ogłaszanie konkursów na odpowiednie prace i wydawanie prac odznaczonych; d) urządzanie odczytów, wykładów publicznych, konferencyj i t. p.; e) zakładanie odpowiednich księgozbiorów, czytelń i t. p. Według § 3, „członkami T-wa mogą być chrześcijanie narodowości polskiej, jak również instytucje polskie".

Towarzystwo rozpoczęło już swą działalność. Zebrania odbywają się w drugą i czwartą niedzielę miesiąca, od 11 do 1 po poł., w tymczasowej siedzibie przy ul. Książęcej 4 m, 5. Zebranie ogólne powołało do prezydjum Zarządu założycieli T-wa, pp. L. St. Kamińskiego (prezes), dr. fil. B. Gaweckiego (wiceprezes), Z. Ważyńskiego (sekretarz). Informacyj udziela p. L. St. Kamiński, Ogrodowa 53.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Znany badacz literatury Stanisław Kolbuszewski wydał świeżo studjum: „Pieśń o Aldony losach. Próba rekonstrukcji pierwszego pomysłu Konrada Wallenroda". (Poznań Wielkopolska Księg. Nakł. Karola Rzepeckiego 1927 r., str. 30). Śmiałą i żmudną, ale lotną i ostrożną musi być praca historyka literatury, gdy stara się ogarnąć i przeniknąć atmosferę, w której powstało dzieło genjusza. Profesor Kolbuszewski uposaża swe studja literackie wszechstronną znajomością epoki i przez ścisłą, pełną subtelnego myślenia metodę wyznaje się „na drogach duszy".

*

We Lwowie istnieje Tow. Wydawnicze „Ateneum", ktore wydaje Bibljotekę Tęczową. Jako tom 16-ty rej Bibljoteki ukazała się teraz praca Jana Chełmirskiego pt. „Jej Królewska Mość Prasa. Zwięzły zarys teorji prasy i dziennikarstwa". (str. 134).

„Praca niniejsza—pisze autor w przedmowie—ma na celu w najogólniejszym zarysie dać czytelnikowi syntezę pojęć o istocie, zadaniach i działalności prasy wogóle". W pierwszych czterech rozdziałach autor określa pojęcia prasy, dzienników, dziennikarza i techniki pracy dziennikarskiej, a następne rozdziały poruszają takie tematy: Prasa jako funkcja społeczna, Bezdroża i powołania obowiązku, Problem finansowy prasy, Instytucje pomocnicze, Wpływ prasy na życie, Dziennikarstwo jako zawód, Prasa w świecie międzynarodowym.

Książka Chełmirskiego ma dużą wartość. Napisana przez dobrego dziennikarza i człowieka wykształconego politycznie, doskonale zaznajamia z trudnem zagadnieniem. A wielką jej zaletę stanowi to, że kładzie nacisk na sprawę odpowiedzialności moralnej tego typu służby publicznej.

Praca Chełmirskiego zasługuje na szerokie rozpowszechnienie.

*

Nakładem wydawnictwa św. Wojciecha wyszła bardzo pożyteczna książka Jerzego Gutsche mgr. praw. pt. Na drodze akademickiego życia. Książka dla maturzystów, akademików i rodziców. (Cena zł. 2.)—Jest to informator praktyczny, ułatwiający młodzieży naszej zorjentowanie się w zadaniu i organizacji studjów wyższych i konjunkturze zawodów t. zw. akademickich. Poza tem uwzględnił autor zagadnienie i metody pracy umysłowej, wyższych studjów kobiet, racjonalnego czytelnictwa, organizacji akademickich i t. d. Załączono również spis wyższych zakładów naukowych w Polsce. Rzecz napisana objektywnie żywo i popularnie.

*

Znany chlubnie lekarz, dr. med. Adolf Kozerski, wydał w książce dwa odczyty swoje, wygłoszone na zjeździe katolickim w Warszawie pt. „O ładzie i nieładzie w dziedzinie płciowej". Przestrogi, dane Polsce w tej rozprawie przez znakomitego lekarza, płyną z głębokiego przeświadczenia, na które złożyły się i wiedza lekarska i głęboko odczuta nauka katolicka i — wreszcie — filozofja. Autor znalazł ostateczne potwierdzenie swych przekonań w filozofji absolutnej Hoene-Wrońskiego i w pracy swojej wywody tego mało znanego myśliciela spopularyzował. Sprawę czystości obyczajów autor wiąże ściśle ze sprawą społeczną i narodową. Jasno wykazuje, że akcja rozkładowa, prowadzona przez międzynarodowe związki tajne, zaczyna od szerzenia rozwiązłości obyczajów. Jej dziełem jest to, co dziś widzimy w Polsce w życiu domowem, towarzyskiem i w szkołach, a wszystkiemu patronują czynniki, wyniesione przez masonerję do wpływów. Piękną rozprawę dra Kozerskiego zalecać należy do czytania, aby przeniknęła do szerokiej opinji. Trzeba kres położyć złu, któremu dobrowolnie się poddajemy.

U SŁOWIAN

Z ruchu słowianofilskiego w Polsce należy zanotować powstanie nowej organizacji p. n. „Liga słowiańska" z siedzibą w Warszawie. Organizacja ta powstała z dawniej istniejącego „Stowarzyszenia Młodych Słowian". To ostatnie Stowarzyszenie głosiło ciekawą ideologję „młodosłowianizm" (zapewne miało to być przetłumaczenie terminu „neoslawizm", ale poco obca końcówka „izm"?) Ideologja ta niezbyt wogóle wyraźna, była pomieszaniem różnych frazesów liberalno-humanitarnych z wpleceniem „słowiański" lub „młodosłowiański". Parę mało znaczących występów nazewnątrz Stow. Młodych Słowian nie zyskało zbyt wielu zwolenników „młodosłowianizmowi". Nowoutworzona Liga Słowiańska, której prezesem wybrano ks. Zdz. Lubomirskiego, a wiceprezesami: płk. A. B. Dostala, A. Z. Opęchowskiego i St. Tomczaka, podjęła też hasła „młodosłowianizmu", stawiając sobie nadto jednak istotnie godny uznania cel „centralizowanie akcji" wzajemności słowiańskiej w Polsce. Od daty założenia „Ligi" (3 kwietnia b. r.) upłynął już pewien czas, ale nic dotychczas niewiadomo o efektywnych rezultatach jej pracy.

*

Polscy słowianofile odczuwali nader silnie brak czasopisma informującego o wszelkich przejawach życia Słowian. Przed wojną, w latach 1905 —1914 wychodził w tym zakresie znakomity wprost miesięcznik „Świat Słowiański" w Krakowie, pod redakcją Fel. Konecznego. Po wojnie czas jakiś w r. 1922/23 wydawał w Warszawie Czech płk. Adolf Bogusław Dostal czasopismo „Kultura Słowiańska", posiadające nader liczne braki, które też wkrótce upadło.

*

Leżą przed nami zeszyty miesięcznika, wydawanego od kwietnia b. r. w Warszawie „Przeglądu Słowiańskiego" (zrazu „Rewji Słowiańskiej"), redagowanego przez historyka i znawcę spraw jugosłowiańskich Dra Aleks. Grabiańskiego, Pismo posiada pewien naukowy poziom i tem różni się korzystnie od „Kultury Słowiańskiej", wychodzącej cztery lata temu. Artykuły, zwłaszcza p. Grabiańskiego, są interesujące i dobrze informujące, niektóre z nich pisane są po serbochorwacku, jako informacja dla Jugosłowian o sprawach polskich. Godną podkreślenia i uznania jest uwaga, poświęcona w piśmie zagadnieniom gospodarczym Słowiańszczyzny. Liczne artykuły tego pisma zasługiwałyby na przedruk w prasie codziennej i fachowej. Poruszone od razu kwestje mniejszości słowiańskich w Polsce są traktowane naogół z dużym objektywizmem. Fakt ukazania się tego pisma można nazywać naogół dodatnim; równie godny uwagi jest przegląd polityki słowiańskiej ze wskazaniem otwierającej się dla Polski możliwości (w num. 1). Posiada jednak pismo również braki, niekiedy poważne. Więc zupełny brak planu wewnętrznego układu, chaotyczność stąd wynikająca, pewien brak wszechstronności (np. w posiadanych przez nas 1—5 niema żadnych informacyj o Łużycach). Pismo zapewne wysyłane jest do innych krajów słowiańskich, otóż niewątpliwie budzi tam złe wrażenie nader niestaranna korekta, nawet przy imionach własnych. Wogóle niemożliwe jest drukowanie po czesku czy po chorwacku bez odpowiednich czcionek, a okropny jest wprost artykuł rosyjski w num. 4 — 5, drukowany alfabetem łacińskim w nader niedokładnej i niekonsekwentnej transkrypcji.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wśród licznych powieści „kolonjalnych" francuskich ostatnich czasów, wyróżniają się utwory Roberta Randau'a, poświęcone Algierowi. Autor urodzony w Algierze, obeznany z jego dziejami, rozmiłowany w życiu jego kolonizatorów, odtwarza ich obyczaje, trud codzienny, walki i nadzieje, w dziełach tchnących mocą i prawdą. Ostatnią powieść Randau'a *„Les Colons"* krytyka francuska stawia bardzo wysoko, obok takich pierwszorzędnych utworów na tle stosunków Afryki północnej, jak Ludwika Bertrand'a *„Le sang des Races"* i t. p.

*

Nakładem *„Libreria del Littorio"* ukazała się książka sekretarza generalnego partji faszystowskiej Augusta Turatiego p. t. *„Ragioni ideali di vita fascista"*. Jest to zbiór przemówień i fragmentów przemówień lat ostatnich, uzupełniony listami z frontu z czasu wielkiej wojny, mimo to książka stanowi całość niesłychanie zwartą i jednolitą, informującą znakomicie o duchu oraz ideologji faszyzmu. Przedmowę napisał Benito Mussolini.

*

Avvocato Giuseppe Leti ogłosił *„Italia e Polonia"*, str. 29. Jest to odczyt na temat stosunków włosko-polskich, miany w Warszawie, w Tow. *„Dante Alighieri"*.

*

„Educazione Fascista" (miesięcznik poświęcony kulturze politycznej) w zeszycie za czerwiec—lipiec 1927 r. zamieszcza między innemi piękną charakterystykę twórczości G. Leopardi'ego pióra G. Gentile'go, a także pełne oryginalnych poglądów studjum Fr. Ercole o Machiavellim.

*

W sfery tajemnic podświadomości prowadzi nas utwór zdolnego autora Conrada Aiken p. t. *„The blue voyage"*. Dramaturg amerykański W. Demarest poszukuje kobiety, którą spotkał swojego czasu i z którą przeżył dziwną przygodę miłosną, dającą mu odczuć obecność innego, tajemniczego świata. Kobieta ta nosi imię Cynthia. Demarest ma poszlaki, że Cynthia odjechała do Anglji i jedzie za nią wielkim parowcem transatlantyckim. Autor opisuje z dużym talentem życie okrętowe na szykownym pokładzie oceanicznego kolosu. Spotykamy tam mało zachęcające typy starych lubieżników i degeneratów, podejrzanej konduity niewiasty, międzynarodowych hochstaplerów i szulerów. Punktem centralnym powieści jest sen Demaresta, w którym rozmaite wspomnienia romansu z Cynthią, fragmenty życia okrętowego i twarze osób poznanych mieszają się w sposób dziwaczny i kapryśny. Demarest spotyka niespodzianie na promenadzie okrętowej Cynthię, lecz dawni kochankowie nie mają sobie teraz już nic do powiedzenia. Demarest rzuca się zrozpaczony w szał pospolitego używania i odurzania się sprzedajną miłością. Powieść napisana jest umiejętnie i ma partje ciekawe. Książka ma ton ponury i pokazuje w czarnych barwach rozpasanie się materjalizmu, poniżenie walorów duchowych, bagno najniższych instynktów ludzkiego zwierzęcia.

*

Wśród pism literacko-artystycznych Londynu wybija się coraz bardziej miesięcznik *„The Monthly New Criterion"*. Na czele redakcji stoi znany krytyk T. S. Eliot. Ostatnie numery przynoszą artykuły W. B. Yeats'a (laureata Nobla z r. 1923, słynnego poety irlandzkiego), Wyndhama Lewis (problem subjektywizmu w sztuce), Mario Praz'a (Chaucer i włoskie *trecento*), doskonałe oceny książek pióra T. S. Eliot'a i Orlo Williams'a (znany *essey*'ista i historyk literatury) oraz szereg interesujących informacyj.

TEATR

„FEDORA"

TEATR Polski wystawił starą sztukę Wiktoryna Sardou „Fedorę". Zrobił to niewątpliwie dla swojej znakomitej artystki p. Przybyłko-Potockiej, która ma zupełne prawo domagania się wyłomów w bieżącym repertuarze, niema w nim bowiem miejsca na kreacje aktorskie wielkiej miary. Wielkich ról domaga się nie tylko głód sławy artystów; publiczność również łaknie na zmianę teatru klasycznego. Upominają się o to tradycje teatru warszawskiego, przekazujące pokoleniom pamięć artystów wielkich, nie zaś autorów. „Fedora" — to Modrzejowska.

Ambicje p. Przybyłko-Potockiej są zupełnie uzasadnione. Kreacja jej zasługuje nn najwyższe uznanie. Prostemi pozornie środkami potrafi osiągać nadzwyczajne rezultaty. Mówimy „pozornie prostemi", bo taka n.p. gra oczu, jaką zastosowała w „Fedorze", wymaga niepospolitych warunków przyrodzonych i talentu.

Druga rola (sztuka ta ma właściwie dwie role) dostała się w dobre ręce p. Samborskiego.

Rzecz szczególna, że tragedja Sardou okazała się dla Warszawy aktualną z treści. Bo właśnie o niczem się teraz nie mówi, jak tylko o tajemniczych morderstwach i czynach zemsty, a z drugiej strony o wdzierającej się na zachód psychice i moralności Wschodu. Sardou, żeby tę psychikę uzasadnić, rozciągnął akcję między Petersburg i Paryż. Środkowym punktem na tym dystansie jest Warszawa.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

S z t u k i P i ę k n e, lipiec—sierpień 1927. Kraków.

W r ó b l e w s k i J a n T a d e u s z. Majaki. Opowieść (z czasów wojny). Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej.

D o s t o j e w s k i T e o d o r. Bracia Karamazowy. T. I i II. Bibl. dzieł wyb.

P r z e g l ą d W s p ó ł c z e s n y, wrzesień.

W a l k a z b o l s z e w i z m e m, wrzesień.

S o p i c k i S t a n i s ł a w. Pacyfizm. Zagadnienie wojny i pokoju. Kraków 1927. Bibl. Chrześc.-społeczna, 12. Str. 78.

P o d w i ń s k i S t a n. Ustrój samorządu powiatowego na terenie b. zaboru rosyjskiego. Ustawy, rozporządzenia, okólniki. Warsz. 1927. Biuro zjazdów samorządu Ziemskiego. Str. 103.

Z d z i a ł a l n o ś c i S e j m i k u Skierniewickiego. Ośm lat pracy. Warsz. 1927. Biuro Rady Zjazdów Sam. Ziem. Str. 117.

U s t a w a o u s t r o j u s z k o l n i c t w a. Projekt Komisji. Warsz. 1927. Minist. Wyznań Rel. i Oświec. Publ. Str. 53.

B u j a k F r a n c. Co Polska traci skutkiem niedostatecznego uprawiania nauki. Warsz. 1927. Kasa im. Mianowskiego. Str. 23.

S p r a w o z d a n i e XLV za r. 1926 z działalnońci Kasy Mianowskiego. Instytutu popierania nauki. Warsz. 1927.

C e z a k J a k ó b S t. Geografja gospodarcza wraz ze statystyką życia współczesnego (66 map i wykresów). Wyd. II powiększ. Warsz. 1927. Dom książki polskiej.

B r a t n i a P o m o c. Sprawozdanie 1924—27. Druk w Kościeszynie. Str. 37.

J ę z y k P o l s k i. Kraków, lipiec — sierpień 1927.

P r z e g l ą d P o w s z e c h n y, wrzesień.

NA MARGINESIE

Wojewoda lwowski p. Piotr Dunin-Borkowski przed dwoma zaledwie miesiącami pisał w miesięczniku „Droga", że pod względem ideologicznym „obóz pomajowy" szuka analogii „raczej w Gandhyźmie indyjskim, aniżeli w Bolszewji lub faszyźmie". Gandhyzm — objaśniał w tymże artykule p. wojewoda — to „przedewszystkiem możliwość... wielorakich bardzo ideałów, uzgodnionych tylko jedną pryncypalną zasadą „bezgwałtu".

P. Piotr Dunin-Borkowski jest pierwszym wojewodą lwowskim, za którego rządów przypuszczono szarżę policji konnej do bezbronnego tłumu manifestantów...

*

Wniosek polski na Zgromadzeniu Ligi Narodów, potępiający „wojnę zaborczą", nie przyczynił się niewątpliwie do lepszego zabezpieczenia naszych granic (zdaniem „*Taegliche Rundschau*" największym sukcesem polityki niemieckiej w Genewie było właśnie „odparcie ataku polsko-francuskiego w celu stworzenia Locarna na Wschodzie"). Natomiast niewątpliwie otworzył on śluzy olbrzymim, szumnym kaskadom pacyfistycznej retoryki.

— „Niemcy popierają... myśl uroczystego potępienia wojny. Opinja niemiecka przyjęła podstawowe ideje pokoju, na których opiera się Liga Narodów" — wołał p. Stresemann.

— „Słyszeliśmy tutaj mowy, które równają się w rzeczywistości czynom pokojowym. Słyszeliśmy solenne oświadczenia o wyrzeczeniu się wojny i jej ohydy" — odpowiadał radośnie p. Chamberlain.

— „Idea Ligi Narodów posiada nieprzemijające znaczenie i wrzyna się głęboko i niezachwianie w życie narodów i państw... Pesymistyczne nastroje... znikną w miarę pogłębiania wiary w wielką przyszłość idei pokoju" — zapowiadał wielkim głosem p. Briand.

Historycy naszej epoki zanotują niewątpliwie, że przewodniczący Zgromadzenia Ligi Narodów, na którem padały te wielkie słowa, nazywał się — Guani...

*

Pisząc w tygodniku „Głos Prawdy" (nr. 211) o wynikach akcji dyplomatycznej p. Sokala na ostatniem zgromadzeniu Ligi Narodów, p. W. Stpiczyński kończy swój artykuł słowami: „N i e g r z e s z ą c z a t e m p r z e s a d ą, mamy słuszny powód do z a d o w o l e n i a z tego, co zostało zrobione". Trzeba przyznać, że p. Stpiczyński istotnie nie ma p r z e s a d n y c h wymagań... Łatwo go zadowolić...

*

„Robotnik" (nr. 246) wielkiemi literami ogłasza na pierwszej stronicy następujące hasło: „Chcecie, by Ukraińcy, Białorusini, Żydzi, Niemcy kochali Polskę? Zróbcie tak, by Polska była prawdziwą ich ojczyzną".

Ponieważ masa żydowska niezdolna jest, jak wiadomo, do asymilacji, więc hasło to mogłoby być urzeczywistnione tylko wówczas, gdyby Polska stała się — Judeą. Trudno pod tem hasłem organizować... Polaków.

*

Z powodu sensacji, którą wywołał ks. arcybiskup mohylowski Ropp artykułem swoim przeciwko R. Dmowskiemu, zamieszczonym w „Słowie" wileńskim (ob. wyżej Głosy), należy się czytelnikom informacja o autorze. Ks. Ropp mieszka od r. 1919 w Warszawie. W nr. 16 z 19.IV.1924 „Myśli Narodowej" ogłoszony był list jego do nuncjusza w Warszawie datowany 16.VII.1919, w którym prosi o ułatwienie mu wyjazdu z Rosji wobec grożących mu niebezpieczeństw z tem, że zarząd archidjecezji pozostawi ks. Cieplakowi. Przy interwencji władz okupacyjnych udało się wymienić go na Radka (Sobelsohna), więzionego wówczas w Berlinie. W słynnym procesie Lednickiego 1924 r. jako świadek oskarżyciela zeznawał (ob. stenogr. sprawozdanie Z. Wasilewski „Proces Lednickiego", str. 217), że za jego radą Lednicki pozostawał w stronnictwie Kadetów. Na str. 219 czytamy: „Mogę powiedzieć to, co jest związane z religją— że p. Lednicki w kwestjach kościelnych bardzo nam współdziałał że był „s z c z e r y m k a t o l i k i e m". Po procesie w dn. 29.II.24 odbyła się owa skandaliczna demonstracja masonerji przeciwko sądownictwu (mowa Thugutta) w sali malinowej hotelu Bristol. Na zebraniu tem przewodniczył ks. Ropp. Co o tej uczcie pisano i opis jej znajdzie czytelnik w cytowanym dziele od str. 461. Znane więc nam są dwa świadectwa, wystawione przez ks. arcyb. Roppa: kadetowi Lednickiemu i Romanowi Dmowskiemu. Z tych dwu świadectw ułożyło się trzecie — dla samego ich autora.

*

Dzienniki donoszą:

„W Sądzie Apelacyjnym znalazła się sprawa łącznego wyroku w pięciu procesach p. Wojciecha Stpiczyńskiego, redaktora „Głosu Prawdy". P. Stpiczyński już raz otrzymał wyrok łączny za 3 sprawy, mocą którego wyznaczono mu 2 miesiące i 3 tygodnie więzienia. Ponieważ po uprawomocnieniu się tego wyroku nastąpiły nowe sprawy, które przyniosły oskarżonemu 3 miesiące więzienia, przeto Sąd Apelacyjny wydając wyrok łączny dodał powyższe kary, skazując p. Stpiczyńskiego na jedną łączną karę 5-ciu miesięcy i 3-ch tygodni więzienia oraz 428 złotych grzywny".

Przed kilku dniami pisał tenże p. Stpiczyński w „Głosie Prawdy": „Dosyć. Publicysta nic tu już niema do powiedzenia więcej. Mówić muszą ci, którzy dźwigają odpowiedzialność za Państwo. Albowiem nic tu nie pomoże bicz słowa. W r z ó d t r z e b a w y p a l i ć r o z p a l o n e m ż e l a z e m p r a w a, s t o j ą c e g o n a s t r a ż y R z e c z y p o s p o l i t e j".

*

W prasie, zbliżonej do rządu, zauważyć można coraz częściej pewien swoisty, odrębny styl pisarski, nawiązujący zresztą, podobnie jak głoszone w tej prasie pojęcia o praworządności, do wzorów z epoki saskiej.

Oto przykład stylu, jakim lubi posługiwać się publicystyka oficjalna. „Polska Zbrojna" (Nr. 258) omawiając w artykule wstępnym powrót prezesa ministrów z Druskienik oraz naradę jego z Prezydentem Rzplitej w sprawie odroczenia sesji sejmowej, pisze: „W tym czasie nad Warszawą przeszedł ulewny deszcz, dał się słyszeć kilkakrotnie niezwykły o tej porze huk piorunów, jakgdyby do stolicy przybył sam Zeus gromowładny!"

Prawda, jaki to szlachetny patos?

*

Jak donosi depesza P. A. T. z Paryża, jeden z obrońców w sprawie Sacco i Vanzetti'ego „znany kalifornijski adwokat Fryderyk Moore, u c h o d z ą c y z a s y m p a t y k a s p r a w y r o b o t n i c z e j, dostał 147.000 dolarów"... Sympatja p. Fryderyka Moore'a nie jest — jak widać — pozbawiona wzajemności...

BŁĘDY DRUKU. W nr. 19 „Myśli Narodowej" w poemacie M. Gembarzewskiego „Pas lity" w 6 w. pierwszej strofy zamiast „b e z p l a m k i z m a z y" powinno być „b e z p l a m n i z m a z y".

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM